

DIANA PALMER

SPECJALISTA OD MIŁOŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z trudem tłumiąc śmiech Amelia Glenn wysiadła z windy na czternastym piętrze chicagowskiego biurowca i szczerzej zacisnęła poły beżowego płaszcza. Gdyby tylko mogli ją teraz zobaczyć znajomi z pracy! Nareszcie jakieś urozmaicenie po biurowej nudzie w firmie handlującej urządzeniami dla rolnictwa. Doprawdy, przyjaciółka mogłaby ją częściej prosić o takie przysługi.

Lśniące bransolety zadzwoniły tak głośno na przegubach jej rąk, że wywołało to zainteresowanie dwóch spieszących do windy biznesmenów. Ciekawe, jak zareagowaliby, gdyby nagle rozchyliła płaszcza... Maszerowała korytarzem, szukając drzwi z numerem 1411, kryjących siedzibę biura, do którego miała dostarczyć specjalne przesłanie. Najlepiej zrobiłaby to Kerrie, lecz ta zachorowała i ich wspólna przyjaciółka, Marla Sayers, poprosiła o przysługę właśnie ją, Amy. Nie było to nic nadzwyczajnego, po prostu chłopak Marli chciał zrobić kawał swojemu szefowi i wszyscy zgodnie uznali, że tylko Amelia ze swoją wspaniałą figurą może godnie zastąpić Kerrie. Rzeczywiście, zgrabna i opalona Amy mogłaby nawet w środku zimy reklamować kostiumy plażowe. Kiedy szła tanecznym krokiem, z długimi włosami spływającymi ciemną falą na ramiona, jasnymi oczami w oprawie ciemnych rzęs, patrzącymi z twarzy o klasycznych rysach, z łatwością można by ją wziąć za świeżo rozkwitłą nastolatkę. Przekraczając próg biura ze zdziwieniem stwierdziła, że nie ma w nim nikogo. Widocznie sekretarka poszła na lunch, pomyślała. Po raz pierwszy w życiu miała wykonać takie zadanie, więc postarała się o najbardziej uwodzicielski uśmiech, na jaki ją było stać i wzięwszy głęboki oddech, śmiało pchnęła drzwi gabinetu prezesa. Najwyraźniej trafiła na małe zebranie. Potężnie wyglądający mężczyzna w koszuli, bez marynarki, ze skupioną miną pochylał się nad jakimiś wykresami rozłożonymi na blacie dębowego biurka. Sprawiał wrażenie surowego i nieprzystępnego. Dwóch innych mężczyzn, wyglądających przy nim na chuderlaków, stało po obu stronach, z uwagą chłonąc każde jego słowo. Amy nie spodziewała się, że prezes Wentworth Carson okaże się typem kulturysty. Poza tym drobnym szczegółem wszystko zgadzało się z opisem, jaki przekazała jej Marla. Miała przed sobą biznesmena w każdym calu, o nienaganych manierach, ale kompletnie obojętnego na kobiece wdzięki. Bez trudu rozpoznałaby go w tłumie, a przecież w żadnym wypadku nie można by go nazwać przystojnym. Miał wydatny nos, krzaczaste brwi i twardo zarysowany podbródek. W ogóle bardziej wyglądał na zapaśnika niż na szefa wielkiej korporacji budowlanej. - Słucham panią? - Zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu, przesłoniętych opadającym na czoło pasmem niesfornej czarnej czupryny.

Amy odpowiedziała mu przewrotnym uśmiechem i ze słowami: „Mam przesłanie dla pana” - odrzuciła płaszcz. Dwóch mężczyzn przy biurku dosłownie zamarło z wrażenia, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami, w których pojawił się wyraz niekłamanego podziwu. Natomiast ich potężny towarzysz wyprostował się i po prostu spiorunował ją wzrokiem. Amelia miała niezły głos, choć z pewnością nie stanowiłaby zagrożenia dla śpiewaczek słynnej Metropolitan Opera. Nucąc melodię urodzinowej piosenki i uwodzicielsko kręcąc biodrami, aż załśniły cekiny kostiumu wschodniej tancerki, który skąpo okrywał jej ciało, ruszyła ku ciemnowłosemu mężczyźnie.

Jednak Wentworth Carson trwał nieporuszony jak skała. Co gorsza, miał taką minę, jakby chciał wyrzucić nieproszonego gościa przez okno. Amy potraktowała to jako wyzwanie. Roześmiała się gardłowym, namiętym śmiechem, jak prawdziwa tancerka uniosła ramiona w górę, podzwaniając bransoletami i podbiegła ku niemu zmysłowo wyginając ciało. Przezroczyta spódnica zawirowała wokół zgrabnych nóg, a krągłe piersi nęcąco uwydatniły się pod spiralnymi ozdobami stanika.

- Sto lat, kochanie! - Tym okrzykiem, pełnym uczucia, zamierzała zakończyć swój występ, ale nagle coś ją podkusiło i niespodziewanie dla samej siebie wspięła się na palce, by złożyć na twardych, kształtnych wargach mężczyzny najbardziej ognisty pocałunek, na jaki ją było stać. Z równym powodzeniem mogłaby całować posąg. Zwalista postać nawet nie drgnęła. Oczy patrzyły bez mrugnięcia. Trwało to moment, a potem nagle strząsnął ją z siebie, jakby parzyło go dotknięcie kobiecego ciała.

- Co ma oznaczać ten głupi dowcip? - zapytał chłodnym tonem.

- To po prostu życzenia urodzinowe - odpowiedziała lekkim tonem, starając się nie ujawniać swoich prawdziwych odczuć. Większość ludzi przyjmowała takie żarty pogodnie - jednak ten facet wyraźnie nie miał poczucia humoru albo nie lubił żartów swojego kolegi. Amelia była zdegustowana, lecz musiała spełnić misję do końca.

- Od kogo? - nalegał Carson, ignorując rozbawione spojrzenia towarzyszy.

- Od pańskiego współpracownika, Andrew Dedhama.

- W takim razie sam sobie zrobił dowcip - wycedził prezes ze zjadliwą satysfakcją. - Nie obchodzę dzisiaj urodzin.

Amy nie posiadała się z oburzenia. - Jak to? Dlaczego w takim razie nie sprostował pan omyłki na samym początku? - prychnęła wściekle. - Chyba nie myślał pan, że przyszedłem tu z ulicy, żeby wcisnąć wam magazyny do prenumeraty, co? Z dezaprobatą uniósł krzaczaste brwi.

- Nie interesują mnie tego typu magazyny - warknął.

- A szkoda. Mógłby się pan z nich dowiedzieć, jak postępować z kobietami, bo chyba ma pan z tym kłopoty.

Choć wydawało się to niemożliwe, Amy odniosła wrażenie, że urósł jeszcze o kilka centymetrów.

- Proszę zachować swoje uwagi dla siebie. Daję pani pięć sekund na opuszczenie mojego biura - w przeciwnym wypadku wniosę przeciwko pani skargę o obrazę moralności.

- Nie jestem prostytutką - zaperzyła się, sięgając po płaszcz. - Nawet gdybyś nią była, do głowy by mi nie przyszło, żeby skorzystać z twoich usług - parsknął pogardliwie, - A teraz proszę, drzwi są tam.

Amy zatrzęsała się z wściekłości. Wyrzuca ją jak psa! Co ją podkusiło, że dała się namówić Marli na ten dowcip!

- Kiedy już pan będzie miał urodziny, panie Lodowcu - rzuciła od drzwi - mam nadzieję, że tort ze świeczkami wybuchnie i rozsmaruje się panu na twarzy!

- Oby tylko pani z niego nie wyskoczyła - wycodził.

- Wykluczone - odparła ze słodziutkim uśmiechem. - Przy takiej liczbie świeczek zdążyłabym się spalić żywcem.

Tę celną uwagę zaakcentowała potężnym trzaśnięciem drzwiami. Biegła korytarzem, drżącymi rękami zaciskając poły płaszcza. Przy wyjściu natknęła się na sekretarkę, zdążającą do windy z tacą pełną filiżanek parującej kawy.

- Czy pani chciałaby się zobaczyć z prezesem Carsonem? - zapytała kobieta z miłym uśmiechem. - Przepraszam, musiałam wyjść, ale zaraz to załatwimy. Właśnie niosę im kawę na zebranie.

- Nie, nie trzeba, już się z nim widziałam - westchnęła smętnie Amy. - Współczuję jego żonie - dodała szczerze.

- Żonie?

Amelia odwróciła się z ręką na klamce drzwi wyjściowych.

- Nie jest żonaty?

- Skądże! - roześmiała się sekretarka. - Jeszcze nie znalazła się dość odważna, żeby spróbować. - Chyba rozumiem, co ma pani namyśli - mruknęła Amy.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wściekłość dosłownie rozsadzała Amelię, kiedy z rozmachem otwierała drzwi do biura Marli. W dodatku, z powodu gorącego chicagowskiego lata, pod płaszczem dosłownie spływała potem. Niebieskie oczy przyjaciółki popatrzyły na nią spod jasnej grzywki.

- I jak poszło? - zapytała z uśmiechem.

- Ten Wentworth Carson - prychnęła Amy, zdzierając z siebie płaszcz i gorączkowo szperając w szafie koleżanki w poszukiwaniu spódnicy i bluzki - jest najbardziej zimną rybą, jaką znam. Do tego wygląda jak wielka zimna ryba i ma także poczucie humoru. Marla, która znała Amelię prawie od roku, kiedy ta skromna dziewczyna z Georgii przybyła do Chicago, nigdy nie widziała jej tak wścieklej.

- Andy mówił coś zupełnie innego - zdziwiła się.

- Ciekawe... W dodatku Carson wcale nie obchodził urodzin, a przynajmniej tak powiedział - kontynuowała Amy, z furią wciągając na siebie skromną biurową spódnicę i bluzkę. - Mało tego, insynuował, że jestem prostytutką i wyprosił mnie z biura twierdząc, że nie życzyłby sobie takiej ozdoby swojego urodzinowego przyjęcia jak ja. Nienawidzę tego faceta! - krzyknęła, wciskając nieszczęsny kostium tancerki głęboko do szafy.

Ramiona Marli trzęsły się od powstrzymanego śmiechu.

- I co zrobiłaś? - wyjąkała wreszcie.

- Pocałowałam go. Marla z trudem łapała powietrze.

- Oczywiście to go jeszcze bardziej wkurzyło - po wiedziała Amelia, wyciągając szczotkę i gwałtownymi ruchami rozczesując pasma potarganych włosów.

- Sam mnie sprowokował tą swoją arogancką miną.

Mógłby się chociaż uśmiechnąć! Nie wyobrażam sobie, żeby jakaś kobieta pocałowała go z własnej woli, chyba żeby jej za to zapłacono. Marla wreszcie zdołała złapać oddech.

- Ten facet jest niesamowity. Tak mi przykro...

Gdyby Kenie nie zachorowała, oszczędziłabyś sobie przeżyć.

- Za żadne skarby bym się do niego nie zbliżyła. On jest... jest...

- Wielką zimną rybą, tak?

- Właśnie!

- Andy chyba tego nie przeżyje, kiedy dowie się o wszystkim - westchnęła przyjaciółka. - Mam nadzieję, że Wentworth Carson nie jest zawzięty, bo w przeciwnym wypadku mój biedak znajdzie się na bruku.

- Co go podkusiło, żeby sobie żartować z takiego faceta? - zastanawiała się Amy. - Nie

dość, że nie ma za grosz poczucia humoru, to jeszcze nie obchodził tego dnia urodzin!

- Może Andy nie wiedział o tym - usprawiedliwiła go Marla, popatrując przepraszająco na koleżankę.

W nobliwym biurowym kostiumie, z włosami zwiniętymi w gładki węzeł, Amelia w niczym nie przypominała uwodzicielskiej tancerki.

- W każdym razie stokrotne dzięki za przysługę.

- Marla ucałowała ją impulsywnie. - Pociesz się, że Andy będzie miał za swoje. - Mam nadzieję. Powiedz mu, że ostatni raz tak się' dla niego poświęcam - rzuciła Amy, zmierzając do drzwi.

Przez całą drogę do domu nie mogła się pozbyć myśli o Wentworcie Carsonie. Ten wielki sztywniak musiał być najgorszym kochankiem świata, skoro nie był zdolny nawet do pocałunku! W ogóle nie miał ochoty go odwzajemnić! Mimowolnie zaczerwieniła się, przypominając sobie twardość jego zaciętych ust. I wtedy nagle przyszło jej do głowy, że musi być bardzo samotny.

Kiedy znalazła się w swojej małej kuchence, nałożyła fartuch i zaczęła przygotowywać sałatkę z tuńczyka. Wynajmowała domek w osiedlu niedaleko plaży. Choć skromny, dawał jej poczucie niezależności. Jego właściciele, przemili państwo Kennedy, mieszkali tuż obok i mogła na nich liczyć w każdej potrzebie. Ich kocur, Khan, puchaty syjamopers odwiedzał ją, gdy tylko zwęszył, że ma na obiad kurczaka.

Kiedy sałatka była już prawie gotowa, nagle odezwał się dzwonek u drzwi. Amy drgnęła zdumiona. Nikt jej nie odwiedzał oprócz Marli, ale ta praktycznie każdy wieczór spędzała z narzeczoną. Państwo Kennedy zaś nigdy nie składali jej niespodziewanych wizyt. W końcu uznała, że to najprawdopodobniej agent reklamowy i z niechęcią ruszyła ku drzwiom zastanawiając się, jak najszybciej się go pozbyć. Otworzyła drzwi na długość łańcucha i ostrożnie zerknęła w wieczorną ciemność. Nagle znalazła się twarzą w twarz z najbardziej zniechęconym człowiekiem.

Błękitne oczy Amy zalśniły w mroku jak sztylety.

- Nie daję prywatnych przedstawień - poinformowała Wentwortha Carsona.

- I dzięki Bogu - odparł. - Otworzy pani wreszcie te drzwi, czy mam je wyważyć?

Boże, ten potwór zdawał się rozsadzać ramionami framugę! Wystarczyłoby, żeby naparł mocniej, a państwo Kennedy wymówiliby jej mieszkanie z powodu dewastacji...

Z irytacją zwolniła łańcuch i wpuściła nieproszonego gościa. Mężczyzna ubrany był w modną granatową marynarkę, białe spodnie i białą, rozpiętą pod szyją koszulę, uwydatniającą opaloną szyję. Wyglądał zupełnie inaczej niż przed południem w biurze. Zbyt pociągająco,

jak na przysłowiową zimną rybę. To spostrzeżenie spotęgowało irytację Amy.

On tymczasem ogarnął taksującym wzrokiem jej zgrabną sylwetkę w luźnej koszuli w niebieskozielono - - złote wzory, białe stopy, włosy spięte w niedbały węzeł i twarz bez śladu makijażu.

- Czy pani Amelia Glenn? - zapytał, jakby nie dowierzał własnym oczom.

- Co ja słyszę, panie Carson, pan nie jest czegoś pewny? - odparowała z wymuszonym uśmiechem.

- Wygląda pani o wiele poważniej - mruknął.

- Chciał pan zapewne powiedzieć, że wyglądam starzej. W końcu mam już dwadzieścia osiem lat. Mogłabym być pańską córką, prawda? - zapytała słodko.

- Mam czterdzieści lat.

- Czyli tylko dwanaście lat różnicy - poprawiła się skwapliwie. - Mimo to poczułam się dużo młodziej.

Popatrzył na nią wilkiem i wepchnął ręce w kieszenie. Zastanawiała się, czy w ogóle zdolny jest do uśmiechu.

- Pani Sayers powiedziała mi, że nie pracuje pani dla niej.

- Zgadza się. - Amy zawróciła do kuchni. - Zapraszam na sałatkę z tuńczyka, jeśli pan lubi - rzuciła przez ramię.

Wszedł do środka i usiadł na krześle przy kuchennym stole.

- Zastanawiam się, czy to przejaw typowej gościnności Południowców, czy może po prostu wyglądam na niedożywionego? Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Niedożywiony? Zbankrutowałabym chyba, gdybym miała płacić pańskie rachunki za żywność!

- Muszę się poważnie ograniczać - przyznał szczerze. - A mimo to, gdybym nie wypacał nadmiaru kalorii w siłowni, wyglądałbym już jak chodząca beczka piwa.

Parsknęła niepohamowanym śmiechem, a potem się zaczerwieniła.

- Przepraszam...

- Nie szkodzi. Więc gdzie pani pracuje?

- Jestem maszynistką w firmie sprzedającej sprzęt rolniczy. Krzaczaste brwi uniosły się w zdumieniu.

- Tak, tak - zapewniła. - Czyżbym wyglądała na kogoś innego?

Na jego ustach pojawił się skurcz, który przy odrobinie dobrej woli można by uznać za uśmiech.

- Prawdę mówiąc oczekiwałam bardziej oryginalnego zajęcia - wyznał.

- Dorastałam, pomagając w zakładzie poligraficznym moich rodziców. Najbardziej egzotyczną rzeczą, jaką zrobiłam w życiu, był dzisiejszy występ na prośbę Marli.

- Skoro już o tym mówimy, Andy Dedham zaczął u mnie pracę miesiąc temu. - Carson przysunął sobie talerz i z apetytem zabrał się do tuńczyka. - Jeszcze mnie dobrze nie zna, ale chętnie mu to ułatwię. Mam zamiar zrewanżować się, z pani pomocą. Oczywiście musi pani wystąpić w tym samym kostiumie. Amy zamarła.

- Jak to?

- Jego matka pochodzi z Bostonu. Należy do kategorii tych szlachetnych wdów o nieposzlakowanej opinii i nienagannyh manierach. Raz w miesiącu przyjeżdża tutaj i zabiera synka do La Pierre na wytworną kolację - wyjaśnił Carson, niedbale bawiąc się filizanką.

- O nie! Tylko nie to! Takie eleganckie towarzystwo... Marla nigdy mi nie wybaczy.

- A gdzie się podział pani awanturniczy duch, panno Glenn?

- Schował się pod stołem. W żadnym wypadku tego nie zrobię - oznajmiła Amy urażonym tonem. Zastanawiał się nad czymś przez moment, patrząc na jej odęte wargi.

- A gdybym tak ja przysłał pani do pracy seksownego tancerza? - zapytał przymilnie. Momentalnie oblała się rumieńcem i spojrzała na niego przerażonym wzrokiem.

- Och, błagam, tylko nic to. Mój szef, pan Callahan, wylałby mnie z miejsca! Wargi mężczyzny rozchyliły się w leniwym uśmiechu.

- Rzeczywiście wylałby panią?

- Nie zrobi mi pan tego! - wykrzyknęła. - No cóż, Kleopatro, zrób się na bóstwo i bądź w La Pierre jutro o siódmej wieczorem. Kiedy wejdiesz do środka, spytaj o Carlosa. Wszystko będzie już umówione. A jeśli nie... - zawiesił głos, mierząc ją bezlitosnym spojrzeniem - jeśli nie, pojutrze złożę pani wizytę w biurze atrakcyjny okaz męski odziany jedynie w skąpe slipki. Amy ukryła twarz w dłoniach.

- Nie przeżyję tego! - Załkała bezsilnie.

- No, no, cóż za przewrotność... A tak się pani podobała własna rola.

- W końcu panu nie zaszkodziłam - wyszeptła.

- To prawda - przyznał, rozpierając się swobodnie na krześle, aż zatrzeszczało oparcie. Emanowało z niego niebezpiecznie pociągające poczucie własnej męskiej siły i brutalnego uroku. Nie mogła oderwać wzroku od wycięcia rozchylonej koszuli, z którego wyglądała ciemno owłosiona pierś. Był najbardziej seksownym mężczyzną, jakiego spotkała. Wszyscy inni wydawali się przy nim wątlymi mięczakami. Uniósł ciemne brwi i popatrzył na nią bystro.

- Czyżbym fascynował panią, panno Glenn? - zapytał z nutą rozbawienia w głosie. - A

może szuka pani na moim ciele odpowiedniego miejsca, by wbić sztylet? Bojowo zadarła podbródek.

- Zastanawiam się po prostu, czemu krzesło nie załamało się jeszcze pod ciężarem pańskiego cielska.

Roześmiał się cicho i gardłowo, nie spuszczać z niej pełnego aprobaty spojrzenia. Miała ochotę zerwać się i uciec. Zamiast tego uprzejmym gestem podsunęła mu kanapki. Wziął jedną i zaczął ją uważnie oglądać.

- Szuka pan czegoś?

- Tak, arszeniku - odparł beczelnie. Parsknęła śmiechem.

- Niestety, ostatnie zapasy zużyłam na kierowcę autobusu, który wysadził mnie o kilometr za moim przystankiem - pocieszyła go. - Są nieszkodliwe.

- Są nawet niezłe - pochwalił, pochłaniając wielki kęs. - Nie wiedziałem, że tuńczyk może tak smakować.

- Jest macerowany w soku z gruszek. Mam ten przepis od ojca. To tata gotuje w domu, bo mama potrafi tylko przypalić wodę.

- A co robi pani mama?

- Pomaga ojcu robić skład w drukarni. Jest w tym bardzo dobra i umie sobie radzić z klientami, ale słaba z niej gospodyni. Musiałam wcześniej nauczyć się gotować, inaczej umarłabym z głodu. Skończyła kanapkę i pociągnęła łyk kawy.

- A pan od dawna zajmuje się budownictwem?

- zapytała uprzejmie. Wzruszył potężnymi ramionami.

- Odkąd pamiętam. Moi rodzice umarli, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Wychowywała mnie babcia. Dbała o mnie i stale mówiła, bym robił w życiu tylko to, co lubię. Uznałem, że najbardziej lubię budować różne rzeczy. - Uśmiechnął się. - Wówczas wymusiła na mnie, bym zadzwonił do kuzyna, który był architektem i zapytał go bez żadnych wstępów, czy może znaleźć dla mnie pracę. Facet był tak zaskoczony, że z punktu mnie zatrudnił. Pracowałem u niego i jednocześnie studiowałem. Kiedy zrobiłem dyplom, zostałem jego współnikiem. Zamilkł na moment i westchnął smutno.

- On nie miał bliskiej rodziny, a z krewnych i uznawał tylko mnie. Umierając zapisał mi firmę. Udało mi się rozwinąć ją tak, że właściwie już jest dla mnie zbyt wielka. Muszę wyklócać się z radą nadzorcą o każdą najprostszą decyzję.

- Jak to dobrze, że jestem tylko biurową płotką i - oświadczyła Amy. - Nie wyobrażam sobie siebie w takiej roli.

- A ja to lubię - odparł, uśmiechając się do niej.

- Kocham wyzwania. Dzięki nim czuję, że żyję. Przyglądała mu się uważnie przez długą chwilę, nie starając się ukryć wyrazu zainteresowania. W jego wieku przydałaby mu się raczej rodzina niż kariera...

- Hej, niech pani powie wreszcie, o co chodzi!

- niecierpliwie przerwał milczenie. Wyprostowała się na krześle, jakby poczuła dotyk męskich dłoni, nagle świadoma swojej nagości pod cienką bluzą.

- Zastanawiałam się, dlaczego się pan jeszcze nie ożenił.

- Ponieważ nie chcę się żenić. - W jego oczach pojawił się niemiły błysk. - A pani może myśli, że już się do tego nie nadaję? Zapewniam, że się pani myli - stwierdził sucho. Sięgnął po filiżankę, by wysączyć ostatni łyk kawy.

- To co, pójdzie pani jutro do La Pierre, czy mam dzwonić? - zapytał wstając.

- Dobrze już, pójdę. - Westchnęła z rezygnacją. - Ale nigdy panu tego nie wybaczę - dodała mściwie.

- Tym się akurat najmniej przejmuję. Więcej już się nie zobaczymy. Dziękuję za kolację. Odprowadziła intruza do wyjścia ciesząc się, że wreszcie się go pozbędzie. Rozczarowała się jednak, bowiem Wentworth Carson odwrócił się nagle, ujął jej twarz w swoje wielkie dłonie i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Należy ci się coś na pożegnanie... - szepnął i pochylił ku niej głowę. Zaatakował jej wargi twardym, gorącym pocałunkiem, szybko i wprawnie docierając do ciepłego wnętrza. W następnym momencie uległa, z bijącym sercem przechodząc na stronę wroga. Kilka razy całowała się już przedtem, ale nigdy w taki sposób. Drżąc, z przymkniętymi oczami i dłońmi zaciśniętymi w pięści, marzyła, by ta niesamowita chwila trwała wiecznie. Nawet nie dotknął jej ciała, lecz sam smak jego twardych warg sprawiał, że delectowała się tym mężczyzną z całą siłą pożądania, które obudziło się w niej po raz pierwszy w życiu.

Niespodziewanie uniósł głowę i ostro spojrzał w jej przymglone, nieprzytomne oczy. - Ty mała oszustko - wydyszał. - Teraz rozumiem, na co się porwałaś tego ranka. Przecież nawet nie wiesz, jak to się robi!

Miała już na końcu języka słowa: „Naucz mnie”. Jeszcze chwila, a zarzuciłaby mu ręce na szyję, lecz w ostatnim momencie przyszło opamiętanie. Odsunęła się od niego drżąc, ale nie spuściła wzroku.

- Już skończyłeś? - spytała spieczonymi wargami. - Tak. - Na jego surowej, ciemnej twarzy błąkał się cień uśmiechu. - Życie sprawia nam niespodzianki. Szkoda, że nasze ścieżki się rozchodzą. Z chęcią udzieliłbym ci kilku lekcji. Dwudziestoośmioletnia - i jeszcze niewinna. To naprawdę interesujący przypadek - stwierdził z błyskiem w oku.

- Lepiej zostaw mnie w spokoju i zajmij się o wiele bardziej interesującymi problemami budownictwa. Zrobię ci tę parszywą przysługę, a ty trzymaj swojego ekshibicjonistę z daleka od mojego biura. Nie mam zamiaru stracić pracy - warknęła.

- Jutro o siódmej - przypomniał, rzucając jej od drzwi ostatnie taksujące spojrzenie. - A swoją drogą, lepiej byś zarobiła jako egzotyczna tancerka - dodał. - Masz najpiękniejsze ciało, jakie widziałem.

Jeszcze długą chwilę stała na progu, patrząc w mrok. Zimna ryba! Już raczej uśpiony wulkan...

ROZDZIAŁ TRZECI

Pan Callahan był łyśy, miał około sześćdziesiątki i sięgał Amy do ramienia. Małe oczka patrzyły przenikliwie zza okularów. Potrafił kłać nie gorzej od pijanego marynarza i na dobrą sprawę nawet pijany marynarz z najpodlejszej łajby miał więcej ludzkich uczuć od mego. Nie przyjmował do wiadomości faktu istnienia urlopów czy zwolnień chorobowych. Amelia już dawno rzuciłaby tę pracę, lecz, niestety, recesja sprawiła, że musiała zacisnąć zęby i, czekając na lepszą okazję, trzymać się zniechęconego pryncypała. Gorszy mógł być jedynie powrót do Seagrove, jej rodzinnego miasteczka koło Savannah w Georga i pomaganie rodzicom w interesie. Ponadto wracając wpadłaby natychmiast w małżeńskie sidła Henry'ego Janretta, który czekał cierpliwie i z utęsknieniem, aż zachwyty wielkim miastem wreszcie wywietrzeje jej z głowy. Henry prowadził jedyną lokalną gazetę i jeśli nie zanudzał miejscowych notabli przeprowadzaniem wywiadów, wyżywał się w autorskiej rubryce na temat pszczelarstwa. Byli rówieśnikami. Amelia w chwilach zwątpienia myślała, że w końcu zgodzi się uszczęśliwić tego pocziwca. Trzymała go jednak stale w rezerwie na wszelki wypadek, łudząc się, że magia wielkiego miasta wreszcie odmieni jej życie. Sama nie wiedziała, dlaczego wybrała właśnie Chicago. Być może z powodu opowieści matki, która w czasie wojny trafiła do kobiecych służb pomocniczych i dostała przydział do bazy marynarki w słynnym Mieście Wiatrów, jak nazywano Chicago. Kto wie, może zadziałała też fascynacja gangsterską legendą... W każdym razie Amelia czując, że w małym miasteczku życie przecieka jej przez palce, podjęła desperacką decyzję. Niestety nowe życie przybrało postać nudnej harówki u pana Callahana.

Jęknęła z rozpaczą i sięgnęła po kolejny formularz, za chwilę wzdygnęła się ze zgrozą, gdyż przypomniało się jej zadanie, które ma wykonać wieczorem. W przerwie obiadowej zadzwoniła do Marli i spytała, czy może jeszcze raz pożyczyć kostium tancerki.

- Po co ci on? - dopytywała się przyjaciółka.

- Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia - zbyła ją krótko. - Dasz czy nie?

- No... dobrze. Pewnie był u ciebie, co? Nie gniewaj się, ale musiałam dać twój adres, nie sposób było mu odmówić. Zresztą myślałam, że chce ci przesłać list...

- Słuchaj, nie mogę ci nic powiedzieć, więc nie pytaj. W każdym razie Andy nie będzie zachwycony.

- Amy, do czego cię ten facet zmusza? Błagam, powiedz mi, przecież jestem twoją przyjaciółką! W tym momencie w drzwiach pojawił się pan Callahan i zmarszczył brwi, widząc swoją pracownicę pogrążoną w rozmowie telefonicznej.

- Oczywiście, proszę pana - kontynuowała Amelia bez drgnienia powieki. - Nasz najnowszy model rozrzucacza nawozu spełnia wszystkie pańskie wymagania.

- Co? - zdumiała się Marla.

- Gdyby był pan uprzejmy przysłać nam zapotrzebowanie pocztą... Ach, rozumiem, nie jest pan jeszcze zdecydowany? Proszę jednak pamiętać o nas...

Doprawdy, to bardzo miło z pana strony! Marla pojęła wreszcie, o co chodzi.

- Co, przyszedł szefunio? - zachichotała. - Dobra, wpadnij do mnie po pracy. - Tak, proszę pana, z całą pewnością. Do widzenia - zakończyła słodkim głosem Amy i obdarzyła swoje go pryncypała promiennym uśmiechem. Skinął głową z aprobatą.

- Brawo, moja droga, świetnie sobie radzisz z klientami - pochwalił i zniknął za drzwiami. Amelia odetchnęła z ulgą i zagłębiła się w stertę formularzy.

Złakniona wieści Marla czekała już w swoim biurze.

- No, mów, co masz zamiar zrobić i gdzie. - Chwyciła Amy za łokieć i wciągnęła do pokoju. - W co ten facet cię pakuje?

- Nie mogę. - Amy bezskutecznie usiłowała się wymigać, dobrze wiedząc, że Marla wypaple natychmiast wszystko narzeczonemu.

- Jak to, nie powiesz przyjaciółce?!

- Uwierz mi, nie mogę. Ale trzymaj za mnie kciuki - poprosiła Amy, pospiesznie wciągając na siebie obcisły strój i opatulając się płaszczem.

- Powiedz chociaż, dokąd idziesz?

- Idę coś zjeść.

- Gdzie?!

W tym momencie zadzwonił telefon i wybawił Amy z kłopotu. Korzystając z okazji, szybko wybiegła z biura przyjaciółki. Na ulicy złapała taksówkę i kazała się zawieźć do francuskiej restauracji. Wpadła tam roztrzęsiona i zdenerwowanym tonem zapytała o Carlosa. Hostessa rzuciła jej zdumione spojrzenie.

- Słucham, o co pani chodzi?

- Chciałabym rozmawiać z Carlosem. Jestem umówiona - nalegała Amelia.

- W jakiej sprawie? - spytała podejrzliwie dziewczyna, na próżno wypatrując pod płaszczem dziwnego gościa spodnicy, pończoch bądź bluzki. Amy pochyliła się ku niej i szepnęła, wykonując taneczne pas:

- Jestem całkiem naga. Mam za zadanie wbiec na] salę i przestraszyć pewną starszą panią. A teraz czy może pani zawołać Carlosa?

- Już idę. - Hostessa wybiegła w pośpiechu. Czekanie przeciągało się w

nieskończoność. Amy zaczęła nienawidzić tej snobistycznej knajpy, Wentwortha Carsona, całego świata. Że też właśnie jej musiało się coś takiego przytrafić! Wreszcie usłyszała kroki. Z nadzieją uniosła głowę i zobaczyła wysokiego policjanta, który zmierzał ku niej z surową miną. - No cóż, moja damo - powiedział, wyciągając kajdanki - pójdziemy sobie porozmawiać na posterunek.

- Nie! - wybuchnęła. - Nie macie prawa! Wykonuję legalne zajęcie. O, proszę! - Zaczęła szybko rozpinąć guziki płaszcza. W tym momencie policjant wykręcił jej ręce do tyłu i założył kajdanki.

- Tylko bez przedstawień - ostrzegł. - Boże, te studenckie wygłupy przyprawiają mnie o ból głowy. Dzięki, Dolores, że mnie wezwałaś. No, chodź, kochana.

- Ja ci też dziękuję, Dolores i nie omieszkam się odwdzięczyć - wycodziła jadowicie Amy. - Powiedz mi, kochana, jakie są twoje ulubione kwiaty, a przyślę ci wiązkę z bombą w środku.

- Oho, groźba i akt terroryzmu - mruknął policjant, ciągnąc ją do wyjścia. - Za to mogłabyś zarobić nawet dziesięć latek. Już miała mu odpowiedzieć, kiedy nagle oślepił ją błysk flesza i fotograf, który pojawił się przed nią, znenacka zawołał:

- Rozchyl płaszczyk, kotku, no, rozchyl, będziesz miała fajne fotki!

Policjant szybko wepchnął Amy do wozu patrolowego i wziął w obroty fotografa. Dziewczyna opadła bezsilnie na siedzenie i przymknęła oczy, głęboko żałując, że tego dnia w ogóle wstawała z łóżka. W komisariacie opowiedziała całą historię sierżantowi, który słuchał z tak obojętną miną, jakby znał już wszystkie opowieści świata. Przyjechała Marla, wezwana rozpaczliwym telefonem, by poświadczyć za przyjaciółkę i wybawić ją z kłopotu.

- Och, ja tego nie przeżyję - jęczała Amelia, wchodząc do swojego mieszkania - Wyobrażasz sobie? Aresztowano mnie i posądzono o naruszenie porządku publicznego! Zabiję tego typa, zabiję - wycodziła tonem, od którego ciarki mogły przejść po plecach.

- Chętnie ci pomogę - podjęła się Marla. - Wyobraź sobie, jaki wstrząs przeżyłby Andy i jego mamusia. Całe szczęście, że nie zjawili się w tej restauracji.

- Jak to? - Amelię dosłownie zatkało.

- No tak, Andy zadzwonił do mnie, kiedy wychodziłaś i powiedział, że matka zachorowała i jedzie do mej do Bostonu.

- Ale Carson kazał mi iść do La Pierre właśnie dzisiaj. I pytać o Carlosa... - urwała nagle, a jej oczy rozszerzyły się nagle ze zgrozy. - Jezu, przecież tam był fotograf! Zrobił mi zdjęcie.

- Czy on był z prasy?

- Nie wiem. Jeśli tak, to już koniec. - Amy ukryła twarz w dłoniach.

- Niema sensu teraz się tym zamartwiać. Lepiej weź gorącą kąpiel i idź do łóżka. Jutro wszystko będzie wyglądało lepiej. - Marla serdecznie objęła ramieniem zdesperowaną przyjaciółkę. Niestety, następnego ranka sprawy wcale nie wyglądały lepiej. Kiedy Amy rozłożyła poranną gazetę, natychmiast dostrzegła na wielkim zdjęciu siebie skutą kajdankami, z przerażoną twarzą. Wielkie litery głosiły: „I kto powiedział, że sztuka prowokacji jest w zaniku? Oto młoda dama aresztowana wczoraj w restauracji Chez Pierre, która miała zamiar wystąpić jako danie saute dla eleganckiej klienteli lokalu. Szkoda takiej ślicznotki, prawda?”

Zaledwie zdążyła odłożyć gazetę, już odezwał się telefon. Wiedziała, kto dzwoni, nim jeszcze podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry, panie Callahan - zaczęła cicho mając jeszcze cień nadziei.

- Jest pani zwolniona! - wrzasnął i wyłączył się.

Długo jeszcze siedziała, wzdychając nad wystygłą kawą. Wreszcie ubrała się i zadzwoniła do Marli.

- Słuchaj, potrzebuję adresu Wentwortha Carsona.

- Ależ kochanie...

- Dzwoni natychmiast do Andy'ego, niech ci poda. Dzisiaj nie idę do biura. Dzisiaj wybieram się do tego faceta, żeby go zabić. Czekam na telefon - oświadczyła Amy tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Musiała odczekać jeszcze kilka dręczących godzin, wypełnionych rozpaczliwymi rozmyślaniami o utracie pracy i perspektywie powrotu do rodziny, nim znalazła się na krętej drodze, wiodącej ku posiadłości Carsona w Lincoln Park. Dzielnica należała do najbardziej ekskluzywnych w mieście, toteż nie zdziwił jej widok eleganckiej fasady ogromnego domostwa, malowniczo skrytego za kwietnikami i ocienionym drzewami podjazdem. Zaparkowała swojego starego, pocziwego forda u wejścia, nie speszona sąsiedztwem białego rolls - royce'a. Na tę okazję nałożyła stanowiący uosobienie biurowej elegancji szary płócienny kostium z białymi dodatkami i wytworną, również białą bluzkę. Z włosami upiętymi w grzeczny kok i dyskretnym makijażem wyglądała nobliwie i profesjonalnie. Wchodziła po schodkach tarasu marząc, by sforsować drzwi czołgiem. Nacisnęła dzwonek. Powitał ją starszy kamerdyner, który uśmiechnął się do niej z zawodową uprzejmością.

- Dzień dobry, czym mogę pani służyć?

- Pragnę zobaczyć się z panem Wentworthem Carsonem - oznajmiła.

- Pan Carson jest w gabinecie. Czy mam panią zaanonsować?

- Dziękuję, nie trzeba, sama to zrobię - powiedziała, wciskając się do holu. - Proszę mi

pokazać drogę.

Mężczyzna zawahał się, lecz w tym momencie na okrytych czerwonym dywanem schodach ukazał się Wentworth Carson we własnej osobie. Stał z rękami w kieszeniach eleganckich spodni i spokojnie mierzył Amelię wzrokiem. - Witam, panno Glenn. - Witam, panie Carson - odparła równie uprzejmie.

- Po co tu przyszłaś? - rzucił. - I skąd masz mój adres?

- Daruj sobie to pytanie. - Gwałtownym ruchem podsunęła mu pod nos zwiniętą gazetę, którą ścisnęła w ręku.

Zmarszczył brwi, otworzył dziennik i aż zamrugał ze zdumienia.

- Co ty tam, do licha, wyprawiałaś?

- Jak to co? Pojechałam do La Pierre, żeby zrobić niespodziankę Andy'emu. Carson z trudem zachował poważną minę. - Ach, rozumiem, i wszystko na próżno... Nie było go tam, tak? - Spojrzał na nią kpiąco. - A nie popatrzyłaś na nazwę restauracji? - Co?

Podał jej gazetę. Amy wpatrzyła się w zdjęcie. Na markizie widniał napis: Chez Pierre. Poczuli, jak uginają się pod nią kolana. Taka drobna różnica, jedno słówko... Postanowiła natychmiast wziąć się w garść. Nie na darmo pochodziła z twardego rodu. Wszak jedna z jej prababek w czasie wojny secesyjnej trzymała przez dwa dni w szachu cały oddział Jankesów, zanim nadeszła pomoc. Wyprostowała się z godnością.

- Andy pojechał do swojej matki - oświadczyła. - Tak, wiem. Ale powiadomił mnie o tym dopiero wczoraj wieczorem. Nie miałem czasu odwołać całej sprawy. Jej wzrok nie zdradzał żadnych uczuć.

- Zakuto mnie w kajdanki i zawieziono na posterunek. Tam wciągnięto mnie do kartoteki i zdjęto odciski palców. Byli przekonani, że pod płaszczem jestem naga. Nie chcieli słuchać żadnych wyjaśnień. Potraktowali mnie jak przestępcę! - Głos jej zadrżał, a w oczach pojawiła się rozpacz. - Mój ojciec prenumeruje tę gazetę. Lubi wiedzieć, co się dzieje w wielkim mieście, w którym mieszka jego córka. Mogę sobie wyobrazić, co się będzie działo, kiedy rodzina zobaczy zdjęcie. Tam nie śmiałam pojawić się na ulicy nawet w szortach! Carson nie był w stanie już dłużej tłumić śmiechu. To przeważało szalę. Wściekłość Amy sięgnęła zenitu. Cisnęła mu zwiniętą gazetę pod nogi. Stary służący, trzymający się dyskretnie z dala, z wysiłkiem starał się zachować poważną minę.

- Dziś rano zadzwonił do mnie pan Callahan. Wylał mnie z pracy. Nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do domu. A tam już na pocztę zobaczą moje nieszczęsne zdjęcie, potem obejrzy je listonosz i powie swojej żonie, ona rozpowie o tym przyjaciółkom w kościele i... - Wargi zaczęły jej drgać, a oczy zaszklily się łzami. - Nienawidzę cię. Specjalnie

prosiłam Marłę, żeby zdobyła twój adres od Andy'ego, by przyjść i powiedzieć, jak cię nienawidzę. Miałabym ochotę cię zamordować! Żeby choć tak tego twojego cholernego rollsa zjadła rdza!

Wreszcie jej ulżyło. Zawróciła na pięcie i ruszyła do wyjścia. W tym momencie rozległ się drżący głos:

- Wentworth, kto to jest? Przez łyzy Amelia dostrzegła drobną postać starszej kobiety, która wyłoniła się z głębi domu. Kuśtykała z najwyższym trudem, ściskając zreumatyzowanymi rękami ramę specjalnego chodzika. Miły uśmiech i bystre spojrzenie niebieskich oczu, patrzących z mądroj, pełno zmarszczek twarzy, nadawały jej szczególnego uroku.

- Dzień dobry - przemówiła łagodnym głosem.

- Dzień dobry. - Amy uśmiechnęła się przez łyzy.

- Nie mogłam powstrzymać się od podsłuchiwania - powiedziała starsza pani przeprasząc. - Ale rzadko się zdarza, żeby Worth tak głośno chichotał. Wyrwał mnie z drzemki. Czy to ty jesteś tą młodą damą, o której grzmiał przez cały wczorajszy wieczór? Nie wyglądasz na tancerkę od tańca brzucha.

- Bo nią nie jestem. Ma pani przed sobą niedoszłą] morderczynię - poinformowała ją Amelia, czując nawracającą falę zimnej wściekłości.

- I dzięki Bogu, że niedoszłą, bo jakoś nie mam ochoty zostać zamordowana. Napij się herbatki, moja droga?

- Babciu, pannę Glenn czeka jeszcze pakowanie i z pewnością się spieszy - odezwał się jej wyrośnięty wnuczek takim tonem, jakby nie mógł się doczekać, kiedy ta utrapiona dziewczyna zniknie z miasta. Podstępny błysk mignął w oku Amy.

- Chętnie się napiję.

- Świetnie, zapraszam do siebie, napijemy się razem. Jestem Jeanette Carson. Możesz mówić mi po imieniu, moja droga.

- Bardzo mi miło. - Amy uśmiechnęła się i ruszyła za drobną staruszką, wkraczając w jej wytworne królestwo, w którym na śnieżnobiałym dywanie stały mebelki z drewna różanego, wyściełane jedwabiem.

- Ja nazywam się Amelia Glenn. Pani Carson ułożyła się na sofie stojącej obok lśniącego stoliczka do kawy i sięgnęła po dzwonek. Natychmiast pojawiła się młoda kobieta w stroju pokojówki i wysłuchała polecenia.

- To Carolyn - powiedziała Jeanette Carson, kiedy dziewczyna odeszła. - Na szczęście Worth jeszcze jej nie zwolnił, ale pewnie w końcu to zrobi. Woli, żeby usługiwali mi

mężczyźni, bo uważa, że zrobią to lepiej. Ja mam na ten temat inne zdanie. - Roześmiała się, a potem westchnęła nagle. - Zresztą on ostatnio nie zaprasza młodych kobiet do domu. Dlatego byłam zaskoczona, kiedy wspomniał o tobie.

- Och, ja i Worth jesteśmy wielkimi przyjaciółmi - oświadczyła Amy, częstując jadowitym uśmiechem mężczyznę, który pojawił się właśnie w drzwiach.

- Prawda, mój drogi? - Ty i ja przyjaciółmi? Nigdy w życiu! - Wzdrygnął się na samą myśl.

- Och, jeżeli jeszcze nie jesteśmy, to zostaniemy. Szybko się przyzwyczaisz - zapewniła go chłodnym tonem.

- Sama napytała pani sobie kłopotów, szanowna panno Glenn - stwierdził, rozsiadłszy się wygodnie na sofie.

- Gdyby nie twój szantaż, nie pojechałabym do restauracji!

- Pragnę przypomnieć, że to ty zaczęłaś - oświadczył z bezczelnym uśmiechem.

- Zaraz, zaraz, przestałam cokolwiek rozumieć - wtrąciła się Jeanette, przenosząc zdumiony wzrok to na jedno, to na drugie.

- Panna Glenn została zatrzymana za... - zrobił efektowną pauzę - można to określić jako nieprzystojne zachowanie w miejscu publicznym.

- Zostałam zatrzymana w eleganckiej restauracji ponieważ przyszłam tam w kostiumie wschodniej tancerki, który zresztą ukrywałam pod płaszczem - trzęsąc się z oburzenia sprostowała Amy. - I pragnę dodać, że działałam z polecenia Wentwortha. Jeanette z niedowierzaniem spojrzała na wnuka.

- Posłałeś ją do eleganckiego lokalu w skąpym kostiumie wiedząc, czym to grozi?

Tak, ponieważ wcześniej ona w tym samym stroju odtńczyła taniec brzucha w moim biurze zaśpiewała mi „Sto lat” i pocałowała mnie przy wszystkich.

- Nie żartuj, Worth, przecież nie obchodziłeś urodzin!

- Właśnie! - wybuchnął - To był po prostu kawał, jaki zrobił mi mój nowy współpracownik. - dodał groźnie - mój były współpracownik - Hola, Wentworth, chyba nie masz zamiaru go za to wyrzucić? - zaniepokoiła się Amy.

- Worth - poprawił ją z irytacją. - Nikt nie nazywa mnie Wentworthem. - Dobrze wymyślę odpowiednie imię. Może nawet zdradzę ci kiedyś, jakie.

- Do tego na szczęście nie dojdzie, bo znikniesz z tego miasta.

- Nie rozumiem, dlaczego ona ma wyjechać z miasta? - zdziwiła się starsza pani.

- Bo straciła pracę - pospieszył z odpowiedzią.

- Och, w takim razie musisz załatwić jej nową. Przecież zwolniono ją z twojej winy.

- W żadnym wypadku nie z mojej winy - zaperzył się. - A poza tym nie mam wolnych miejsc.

- Skoro tak, panna Glenn będzie pracować u mnie oświadczyła Jeanette Carson. - Potrzebuję towarzyszki i sekretarki, a także kogoś, kto mógłby jeździć ze mną do miasta. Ciebie przecież nigdy nie ma.

Wentworth dosłownie zeszytniał i wpił spojrzenie w Amelię.

- Nie przyszłam tu, by prosić o pracę – powiedziała z przepaszającym uśmiechem do Jeanette. - Przyszłam tu wyłącznie po to, by zamordować twojego wnuka.

- Och, szkoda białego dywanu, mógłby się ubrudzić. - Babcia lekceważąco machnęła ręką i sięgnęła po filiżankę herbaty, którą właśnie wniosła Carolyn.

- Lepiej popracuj dla mnie. Jeśli zechcesz, możesz tu nawet zamieszkać.

- O, Boże, tylko nie to - wyszeptał Worth wstając. Wyszedł, mamrocąc coś pod nosem, demonstracyjnie trzasnąwszy drzwiami.

- No, teraz wreszcie możemy porozmawiać o interesach. - Jeanette Carson odetchnęła z ulgą. - Wiesz, mam osiemdziesiąt pięć lat i charakter nie gorszy od mojego wnuka. Jestem apodyktyczna, traktuję wszystkich z góry i nigdy nie proszę, kiedy mogę żądać - zwierzała się, z wdziękiem unosząc filiżankę do ust.

- Teraz przechodzę rekonwalescencję po złamaniu kości biodrowej i jestem uwięziona w domu. Worth jest tym zachwycony, ale ja marzę, żeby się gdzieś wyrwać Liczę, że mi w tym pomożesz.

- Przecież nawet mnie nie znasz - zaprotestowała Amelia.

Jeanette spojrzała na nią bystro. - Moja droga, w swoim czasie byłam jedną z najlepszych reporterek w Chicago. Do dziś zachowałam zdolność błyskawicznej oceny ludzkich charakterów, Jeszcze cię nie znam, ale wkrótce poznam. Zresztą to, co wiem, już mi wystarczy. A teraz powiedz, czy zadowolili cię... - i wymieniła sumę dwukrotnie wyższą niż pobory u pana Callahana. - I czy zgodziłabyś się przenieść do nas?

- Najchętniej, chociażby dlatego, żeby zrobić na złość Wentworthowi, ale podpisałam umowę wynajmu na rok. Bardzo lubię właścicieli tamtego mieszkania i nie chciałabym im zrobić przykrości. Poza tym cenię sobie własną prywatność.

- Ile ty masz lat, dziecko?

- Dwadzieścia osiem.

- A twoi rodzice?

- Żyją oboje. Mają mały zakład drukarski w Georgii. Jeanette pilnie wypatrywała czegoś w herbacie.

- Powiedz mi, czy jest jakiś mężczyzna w twoim życiu?

- Nie, jeśli nie Uczyć Henry'ego. – Amy westchnęła.

- Redaguje lokalną gazetę i któregoś pięknego dnia ożeni się ze mną, jeśli tylko będę przyzwocić się prowadzić.

- Słowo daję, myślę, że świetnie się dogadamy - uznała pani Carson z satysfakcją.

Amy była podobnego zdania. Kiedy jednak w dwie godziny później pożegnała się z uroczą starszą panią, Wentworth Carson czekał już na nią w holu, stojąc z rękami w kieszeniach i z posępną miną.

- Och, cóż za ponury nastrój - zakpiła Amelia.

- A ja właśnie rozmawiałam o trudnych charakterkach.

- To nie moja wina, że straciłaś pracę - burknął.

- I nie życzę sobie żadnych zmian w moim domu. Powiedz babci, że rezygnujesz z posady. - Wykluczone, zdążyłam już polubić Jeanette. Przypomina mi moją matkę. Trzeźwo myśli i jest cudownie nieznośna. Z chęcią się nią zajmę. Zaciął usta i spojrzał na nią groźnie.

- Lepiej wracaj do domu!

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Bo będę musiała wyjść za Henry'ego! - wyrwało się jej zbyt szczerze. - O ile w ogóle mnie będzie chciał po tym, jak zobaczy tę nieszczęsną gazetę. Moja reputacja legła w gruzach.

- A dlaczego nie miałabyś za niego wyjść?

- Ponieważ jedynym komplementem, jaki mi powiedział, było: „Amy, masz garbek na nosie”.

- Niezbyt atrakcyjny wielbiciel - przyznał.

- No właśnie.

Taksującym wzrokiem przyjrzał się jej biurowej kreacji.

- A ty jesteś namiętną kobietą?

- Tego akurat nie musisz wiedzieć. Mam zamiar zajmować się twoją babcią, a nie romansować z tobą - odpaliła. Skrzywił się z powątpiewaniem.

- Bardzo się jej spodobałaś. Założę się, że zaraz zaczniesz przemyśliwać, jak by doprowadzić nas do ołtarza.

- Możesz się nie martwić - zapewniła go skwapliwie, zmierzając w stronę swojego odrapanego forda. - Nie gustuję w starszych panach.

- Czterdziestka nie jest podeszłym wiekiem. Lekceważąco wzruszyła ramionami. - Dla kogoś, kto ma dwadzieścia osiem lat - jest. Ja potrzebuję kogoś, z kim mogłabym się zabawić. W tym momencie Carson zachichotał radośnie, a Amy spłonęła rumieńcem zrozumiałwszy, jak jednoznacznie zinterpretował jej niewinną uwagę.

- Żebyś wiedział - jąkała się. - Potrzebuję normalnej rozrywki... pograć z kimś w tenisa, uprawiać jogging, a nie... nie to... Tym razem parsknął niepowstrzymanym śmiechem. Upokorzona, bez słowa usiadła za kierownicą. Gdy odjeżdżała zadrzewioną aleją, długo jeszcze widziała w tylnym lusterku stojącego na tarasie śmiejącego się mężczyznę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Amelia pojawiła się w swoim nowym miejscu pracy dokładnie o wpół do ósmej rano ubrana w jasnoszarą spódnicę, modną bluzkę i bawełniany żakiet z krótkimi rękawami. Szarość stroju nadawała jej niebieskim oczom interesujący odcień. Włosy jak zwykle upięła w luźny węzeł. Wentworth Carson w żadnym przypadku nie mógłby uznać jej wyglądu za prowokujący. Kiedy zajechała na podjazd, niski, starszy ogrodnik wskazał jej bramę do podziemnego garażu. Pożałowała, że wyłączyła stacyjkę, gdyż miała kłopoty z ponownym uruchomieniem samochodu. Jej ford - weteran - z reguły złośliwie nie chciał zapalić przy rozgrzanym silniku. Kolejni mechanicy bezskutecznie usiłowali rozgryźć ten problem, aż w końcu Amy musiała przywyknąć do kaprysów ukochanego grata. Kiedy wreszcie rozklekotany wehikuł wtoczył się do garażu i grzecznie zaparkował pomiędzy wytornym rollsem i najnowszym mercedesem, ze złością pomyślała o tym nieprawdopodobnym snobie, Carsonie, który bał się, że żółta landara zeszepeci mu elegancki podjazd. Drzwi otworzyła jej uśmiechnięta pokojówka.

- Dzień dobry, proszę wejść. Pani Carson jeszcze śpi, ale pan Worth zaprasza panią na śniadanie. Ho, ho, śniadanko z panem Carsonem, cóż za zaszczyt dla ubogiej dziewczyny, pomyślała Amelia, idąc za Carolyn do jadalni. Worth siedział już przy stole nad filiżanką kawy i talerzem tostów.

- Miły początek dnia - śniadanie w towarzystwie zmory z krypty faraonów - powitał ją.

- Nie jestem mumią - warknęła. - I nie mam ochoty na jedzenie.

- W to ostatnie jestem skłonny uwierzyć. Nie wyglądasz na osobę, która często się pożywia. Ale skoro masz tu pracować, będziesz musiała nabrać sił. Zawarłem bowiem z babcią pewien układ dotyczący ciebie - dodał poufnym tonem. Amy zaniepokoiła się i nieufnie przycupnęła na brzeżku krzesła.

- O co chodzi?

- O to, że brak mi osobistej asystentki. A ponieważ będziesz tu przebywać całymi dniami, zaś babcia będzie cię potrzebować najwyżej na kilka godzin, ustaliłem z nią, że podzielimy się tobą.

- Nie życzę sobie, żeby decydowano o mnie za moimi plecami!

- Pamiętaj, że nie masz wyboru - powiedział z naciskiem. - No, oczywiście, zawsze możesz wrócić do rodziny i wyjść za Henry'ego - dodał słodko. Wzdrygnęła się.

- Nawet praca u ciebie wydaje się lepsza.

- Och, nie zasłużyłem na taki komplement - mruknął.

Uniósł głowę i wpatrzył się w jej twarz. Napięte rysy złagodniały.

- Musiałaś długo pracować nad makijażem - stwierdził nagle.

- Nie rozumiem...

- Twoja cera. Jest zbyt doskonała, by mogła być prawdziwa.

- Używam tylko mydła i niczego więcej, nawet pudru. Uznaję tylko naturalne środki.

- Ja też - przyznał. Opalone palce jego potężnej dłoni bawiły się łyżeczką do kawy. W niebieskiej marynarce, białej koszuli i modnym krawacie wyglądał na rekina biznesu w każdym calu. Lecz pod eleganckim materiałem przy każdym poruszeniu grały potężne mięśnie. Refleksy światła połyskiwały na lśniącoczarnych włosach, a wyraziste rysy podkreślał niebieskawy cień zarostu, typowy dla mężczyzn, którzy muszą się często golić. Od pierwszego momentu zafascynowały Amy jego usta. Pamiętała ich dotyk i cudowną wprawę, z jaką ją całowały. Z pewnością mógł mieć każdą kobietę, której zapragnął. Ucieszyła się w duchu, że jej zdolność oporu nie została przez niego wystawiona na próbę. Tak łatwo mógłby złamać jej serce...

- Ona jest bardzo delikatna - zmieniła temat, nalewając sobie kawy do kruchej chińskiej filiżanki. - Kto?

- Twoja babcia. W jaki sposób złamała kość biodrową?

- Próbowwała nauczyć się break dance'u. Amelia omal nie zakrzuszyła się kawą.

- Tak, tak, dobrze słyszałaś. Miała cały kurs na kasetach wideo. Chciała potrenować spin, lecz znalazła się za blisko kominka, poślizgnęła się i upadła na obramowanie.

- Ależ ona ma osiemdziesiąt pięć lat!

- Bardzo lubi hard rocka - kontynuował niewzruszony. - Namyślnie ogląda filmy sensacyjne, flirtuje z panami i spokojnie może przetrzymać mnie w picciu. A gdybyś przypadkiem znalazła się w jej pobliżu, gdy wpadnie w szal, otrzymałabyś poglądową lekcję temat spontanicznego wyzwalań emocji. Amy w zdumieniu pokręciła głową.

- Niesamowita kobieta!

- Owszem. A przy tym jest osobą gołębiego serca, więc nie chciałbym, by ktoś ją skrzywdził - powiedział znacząco, mierząc ją groźnym spojrzeniem. - Nie znam cię jeszcze, ale wkrótce poznam. Jeśli tylko okaże się, że nałgałaś mi coś o sobie, wylecisz stąd z hukiem.

Wytrzymała jego spojrzenie.

- Chyba od razu się przyznam. Raz nie wrzuciłam pieniędzy do parkometru i odjechałam. - Zabawna jesteś. - Jego głos wyraźnie złagodniał. - Dobrze, a teraz pora na nas. Jesteś gotowa?

- Do czego?

- Do pracy, oczywiście. Jadę w teren obejrzeć miejsce pod nowy budynek i biorę cię ze sobą. Będziesz robić notatki.

- A... a pani Carson?

- Nie będzie cię potrzebować przez najbliższych kilka godzin. Oglądała filmy do czwartej rano. - Dobrze. Dokąd mamy jechać i co mam konkretnie robić?

- W północnej stronie miasta jest parcela, co do i której mam pewne plany. Chcę mieć swoje spostrzeżenia zanotowane na bieżąco, ponadto będę musiał zrobić pewne pomiary. Nie znoszę dyktafonów i tym podobnych gratów, i nie ufam im. Wolę, żebyś to zapisywała. Dasz radę?

- Tak, tylko nie mam na czym.

- Coś się znajdzie. Chodź. Podreptała za nim. Na każdy jego krok musiała robić dwa. Czowała się przy tym ogromnym mężczyźnie dziwnie mała i niesłychanie kobieca zarazem. Niepokoiło ją to odczucie, którego doznawała po raz pierwszy. Zaprowadził ją do wykładanego boazerią gabinetu, gdzie stało wielkie dębowe biurko i ciężkie, kryte skórą meble. Obrazu całości dopełniała beżowa wykładzina i ciężkie brązowe story. Pokój pasował do tego mężczyzny i podobnie ją onieśmiała. Worth wysunął szufladę i znalazł potrzebne materiały. Obserwował spod zmrużonych powiek, jak wpychała do miniaturowej torby dwa pisaki i notes.

W garażu skierował się do mercedesa. Zerknęła na niego zdziwiona. Oczekiwała, że wybierze rolls royce'a.

- Rolls należy do babci. - Uśmiechnął się otwierając drzwiczki. - Ona lubi elegancję i klasę. Ja wolę siłę i szybkość. Sadowiąc się za kierownicą, rzucił pełne politowania spojrzenie na jej wysłużonego ford. - Kazano mi go tu postawić, zapewne dlatego, żeby jego widok nie gorszył twoich przyjaciół - wyjaśniła lodowatym tonem. - Większość moich przyjaciół nie żyje albo wyjechała za granicę - wyjaśnił, sprawnie manewrując wozem. - A dla mnie mogłabyś parkować nawet pod moją skrzynką pocztową. Chciałem tylko, żeby twój samochód nie stał pod chmurką.

- Przepraszam, nie chciałam cię urazić - powiedziała zmieszana. Ruszyli. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Amy rzucała ukradkowe spojrzenia na twardy męski profil Wortha.

- Czy masz rodzeństwo? - zapytał nagle.

- Nie, a ty?

- Miałem młodszego brata. Zginął w Wietnamie, o kilometr od miejsca, gdzie

stacjonowałem w Da Nang.

- Och, to musiało być straszne również dla twojej babci.

- Tak, cierpiała bardzo długo po jego śmierci. Jackie był tak pełen radości życia... Przekomarzał się z nią, przynosił kwiaty. Zawsze miał coś ciekawego do powiedzenia. Ona żyła jego sprawami. - Westchnął z żalem. - Nie byłem w stanie go zastąpić. Nie ma we mnie takiej spontaniczności. Lepiej wychodzi mi praca niż zabawa.

- Mogę sobie wyobrazić, jak zabierasz się do break dance'u - mruknęła.

- Przy moim wzroście natychmiast rąbnąłbym o podłogę. - Zaśmiał się. - A co masz zamiar teraz budować? - zmieniła temat.

- Tam, dokąd jedziemy? Zespół mieszkalny.

- Jeszcze jeden? Przecież w Chicago jest ich pełno. - Ale me w tej części miasta. A to osiedle ma być przeznaczone specjalnie dla osób starszych. Opłaty nie będą wygórowane.

- Widzę, że twardy przedsiębiorca ma jednak miękkie serce.

Stanęli na czerwonym świetle. Spojrzał na nią ostro, zaciskając palce na kierownicy.

- Robię to tylko dla Jeanette. I nie liczę, że znajdziesz mój czuły punkt. Nie po to zrezygnowałem z żony i dzieci, żeby dać się usidlić małomiasteczkowej starej pannie. Amy ze świstem wciągnęła powietrze.

- Z jakiej racji wyobrażasz sobie, szanowny panie, że mogłabym się tobą interesować?
- prychnęła.

- Bo lubisz mnie całować.

- I co z tego? Lubię też lody czy prażoną kukurydzę.

Światła się zmieniły. Nim ruszył, przebiegł szybkim spojrzeniem po jej ciele.

- W takim razie jesteś ciekawa. Możliwe, że tak samo jak ja.

- Ciekawa czego?

- Seksu.

Odwróciła głowę, udając zainteresowanie migającymi za szybą drapaczami chmur.

- Wyobrażam sobie, że masz więcej doświadczeń w tej dziedzinie, niż ja zbiorę przez całe życie. Czy nie zaspokoiliś jeszcze swojej ciekawości?

- Fakt, w młodości nie żałowałem sobie uciech - przyznał. - I kilka razy sprawy przybrały poważny obrót. Na szczęście mam silny instynkt samozachowawczy.

W jego głosie zabrzmiała nagle nowa, poważna nuta. Zerknęła na niego i zobaczyła, jak odruchowo zaciska szczękę.

- Ktoś musiał bardzo cię zranić - wyczuła instynktownie.

Skurcz wściekłości wykrzywił mu rysy. Na szczęście musiał się skupić na

prowadzeniu.

- Babcia ci coś opowiadała? - warknął.

- Ani słowem nie wspomniała o twoim życiu osobistym. Zresztą ja też raz się sparzyłam - wyznała, spuszczać wzrok. - To był uroczy chłopak, inteligentny, z szanowanej, zamożnej rodziny. Świata poza sobą nie widzieliśmy. Poszłabym za nim w ogień. Wiesz, jak to jest z pierwszą miłością. - Uśmiechnęła się gorzko. - Miał wobec mnie poważne zamiary. Niej chciał mnie uwodzić, tylko od razu wziąć ślub. Więc przedstawił mnie swojej mamusi. Miałam wtedy dziewiętnaście lat... - I, jak widać, nie wyszłaś za niego.

- Nie. Aristokratyczna mamusia była przerażona. Byłam prostą dziewczyną z Georgii i moje maniery pozostawiały wiele do życzenia. Oszczędzę ci szczegółów. W każdym razie po tygodniu spędzonym w jego domu miałam dosyć i sama zerwałam zaręczyny. Wróciłam do Georgii i porzuciłam naukę. Długo jeszcze nie mogłam sobie poradzić ze wspomnieniami.

- Zapewne był maminsynkiem, co?

- Właśnie. Później doszły mnie słuchy, że wżenił się] w bogatą rodzinę, która zrobiła majątek na kosmetykach.

- Szkoda, że tak ci się nie ułożyło.

- Wręcz przeciwnie, bardzo się cieszę. Okropnie się potem rozpił i ciągle był pupilkiem mamusi.

Miałabym straszne życie. Myślę zresztą, że byłby fatalnym kochankiem - zażartowała odważnie. - Wiesz, chciał tylko brać, a nie dawać.

- Mężczyznę można tego oduczyć. Kobiety oczekują od nas, że z góry będziemy wiedzieli, jak je zadowolić. Tymczasem wiele rzeczy zależy również i od nich.

- Nie wiem, ja miałabym chyba trudności - powiedziała Amy, szczerze patrząc mu w oczy. Zadziwiająco, jak łatwo rozmawiało się jej z tym człowiekiem. Jakby znała go od lat.

- Dlaczego?

Rozparła się wygodnie na siedzeniu, wyciągając długie nogi.

- Po prostu jestem zbyt wstydliva - odparła z leniwym uśmiechem. - Nie wyobrażam sobie nawet, że miałabym rozebrać się przed mężczyzną. Worth ze zdumieniem zmarszczył gęste brwi.

- Słowem, według ciebie ludzie powinni się kochać w ciemni?

- No, w każdym razie w nocy, przy zgaszonym świetle.

- Mój Boże!

- A nie powinni?

- Słuchaj, nie będę ci robił wykładów na temat seksu.

Amy zarumieniła się i szybko odwróciła głowę. Rozmowa niepostrzeżenie stała się jednak zbyt intymna. Na szczęście dojeżdżali już do celu. Spodziewała się ujrzeć jakieś miłe miejsce, w które można by wkomponować nowoczesne apartamenty. Tymczasem ujrzała zapuszczony teren i pustą, zrujnowaną kamienicę.

- Co masz zamiar z tym zrobić? Zbudować ogrody na dachu? Roześmiał się.

- Najpierw trzeba wszystko zburzyć i oczyścić teren.

- To będzie drogo kosztować, prawda?

- Oczywiście, ale sądzę, że się opłaci. Pomógł jej przy wysiadaniu i natychmiast zaczął uważnie lustrować teren. Amelia szybko wyjęła notes i czekała z pisakiem w ręku, starając się wyglądać profesjonalnie.

- Będziesz mi dyktował? Wsadził ręce w kieszenie i spojrzał na nią kpiąco.

- Co mam dyktować? Swój testament?

- Uwagi techniczne! Przecież po to chyba mnie tu sprowadziłeś?

- A tak, rzeczywiście - przyznał z roztargnieniem. Dobrze, obejrzyjmy to. Ruszyła za nim, wykręcając sobie nogi w pantoflach na wysokich obcasach. Nagle zaczęła mieć dosyć tego wielkiego, hałaśliwego miasta. Przez moment zdawało się jej, że szum samochodów jest szumem potężnych fal Atlantyku, załamujących się na białych plażach jej rodzinnych stron.

Worth obejrzał się widząc, że nie nadaża i krytycznie przyjrzał się jej stopom.

- Po co włożyłaś te idiotyczne szpilki? Koniecznie chcesz skrócić nogę?

- Są modne i eleganckie - rzuciła z oburzeniem.

- Bzdura, następnym razem włóż sportowe pantofle.

- Skąd miałam wiedzieć, że będę się włóczyć po ruinach?

- A co, wyobrażałaś sobie, że twoja praca będzie polegać na konwersacji, picciu kawki, jedzeniu ciasteczek i zawieszaniu od czasu do czasu babci do miasta?

- Babcia naprawdę potrzebuje kogoś do towarzystwa. Poza pokojówką cała twoja służba to stare pryki. Kto jej pomoże, kiedy na przykład upadnie? - odparowała Amy wściekle. Upał pogorszył jeszcze jej nastrój.

- Nie jesteś pielęgniarką.

- Robiłam w życiu różne rzeczy, a między innymi pracowałam jako pomoc w szpitalu. Jeszcze pamiętam, co robić w nagłych wypadkach. Poza tym ona potrzebuje również sekretarki. Ale dobrze, skoro ci nie odpowiadam, obiecuję, że poszukam sobie innej pracy. Pozwól mi tylko zostać, dopóki czegoś nie znajdę, dobrze?

- W porządku - zgodził się spokojnie.

- Wiem - westchnęła. - Nie ufasz mi. Ale mój dziadek nie ufałby z kolei tobie. Dla

niego Chicago jest miastem, gdzie po ulicach chodzą sami gangsterzy.

Przez długi czas był obrażony na moich rodziców, że pozwolili mi tu przyjechać. Dzwoni zresztą czasami, żeby upewnić się, czy nie stałam się ofiarą wojny gangów. Worth uśmiechnął się wbrew swojej woli.

- Musi mieć niezły charakter, co?

- O, tak. Był rybakiem, ale przyszedł kryzys i wtedy musiał sprzedać łódź. Potem miał się różnych dziwnych zajęć. Bardzo zmienił się po śmierci babci. Mówi, że bez niej życie straciło dla niego cały urok.

- A na co umarła?

- Na atak serca. O ile można tak powiedzieć, miała lekką śmierć. Umarła pielęgnując kwiaty w swoim ogrodzie. Było to jej ukochane zajęcie... - Urwała na moment, a łzy napłynęły jej do oczu. Nawet po roku wspomnienie było bolesne. - Moi drudzy dziadkowie, ze strony ojca, nie żyją od dawna - ciągnęła. - W ogóle ich nie pamiętam. Natomiast ci byli mi bardzo bliscy. Z ojcem nigdy nie rozmawia mi się tak dobrze jak z dziadkiem. - Musieli być szczęśliwą parą, prawda?

- O, tak. W pięćdziesiątą rocznicę ślubu dziadek zabrał babcię do kina samochodowego, a potem przyjechali do domu i szczelnie zasłonili okna. Wiesz, zawsze trzeba było pukać, kiedy się do nich wchodziło, - Rzuciła mu rozbawione spojrzenie. - Lubili urozmaicenia. Raz mama zaskoczyła ich w kuchni...

- Niesamowite!

- Byli bardzo nowocześni. Twoja babcia ogromnie przypomina mi moją. I pewnie dlatego tak ją polubiłam. - Ja też.

Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zaczął obracać ją w palcach. Celofan był nienaruszony.

- Ty palisz? - zapytała Amy, nie mogąc przypomnieć go sobie z papierosem.

- I tak, i nie. - Z westchnieniem wcisnął paczkę z powrotem do kieszeni. - Dwa tygodnie temu postanowiłem rzucić palenie. No, ale dosyć gadania trzeba się brać do roboty - oznajmił i począł ze skupioną miną lustrować teren, kalkulując coś w myśli.

Po chwili zaczął jej dyktować uwagi na temat lokalizacji sklepów, przystanków, punktów usługowych, przejść dla pieszych i pierwsze pomysły architektonicznego kształtu osiedla. Amelia ledwo nadążała z pisaniem. Kiedy doszło do fachowych uwag na temat samej konstrukcji, ze wstydem musiała poprosić by przeliterował jej pewne terminy.

- Będę musiał jeszcze zrobić wstępny kosztorys - mruknął do siebie zaaferowany. - Chyba przyślę tu Reynoldsa. No cóż, na razie wystarczy. Zrobiłem się głodny. Co byś

powiedziała na mały obiad?

- Byłabym zachwycona. Spodziewała się, że wrócą do domu, lecz pojechali do śródmieścia. Kiedy zatrzymali się przed elegancką restauracją, dostrzegła na markizie znajomą nazwę: Chez Pierre.

- Nie, proszę. - Spojrzała na niego błagalnie, gdy otwierał jej drzwiczki, wręczając kluczyki parkingowemu.

- Ależ tak, chodź. Nie poznają cię. I rzeczywiście, nikt jej nie poznał, nawet hostessa, którą tak wystraszyła. Ceremonialnie zaprowadzono ich do zacisznego stolika w rogu, skąd widać było ukwiecony dziedziniec.

- Jak cudownie! - wykrzyknęła z zachwytem.

- Kocham kwiaty.

- Tak właśnie myślałem. Pochyliła się ku niemu, zdumiona takim wycuciem.

- Słyszałem, co mówiłaś o kwiatkach mojej babci.

- Lubię wszystko, co rośnie - wyznała. - Tylko nie mam miejsca na uprawy. Wokół mojego domu rozciągają się wspaniałe żywopłoty i trawniki. Państwo Kennedy przepadają za nimi. Nie śmiałabym popsuć im widoku kwiatkami.

- Wynajmujesz od nich mieszkanie, tak?

- Aha. To mili staruszkowie, usiłujący w ten sposób dorobić sobie do emerytury. Mieszkam tam od początku pobytu w Chicago i choć jest ciasne, bardzo je sobie chwalebę. Przynajmniej mam blisko do brzegu Michigan.

- Musisz tęsknić za swoimi plażami, co? - Bardzo. Uwielbiałam przesiadywać na plaży w czasie sztormu i patrzeć na wzburzony Atlantyk - powiedziała z rozmarzonym wzrokiem. - Grzywy piany bielą się aż po horyzont. Powietrze przenika ryk fal i rozpylone bryzgi wody, a wiatr rozwiewa włosy i zapiera dech. Strasznie za tym tęsknię... Worth patrzył na nią, obracając w palcach jeden z wytwornych srebrnych sztućców.

- Taak - powiedział przeciągle. - Wyglądasz na kobietę, która uwielbia rzucać wyzwania wiatrowi na samotnej plaży. Zapewne też lubisz burzę z piorunami.

Zaśmiała się.

- Dziadek mówi, że jestem dzieckiem żywiołów. Podobnie zresztą jak on. Nie jesteśmy ryzykantami, ale uwielbiamy naturę i przygody.

- Jesteś też bardzo zmysłowa - dodał, nie spuszczać z niej ciemnych oczu. - Założę się, że należysz do żywiołu ognia.

- Skoro mówimy o astrologii, jestem spod znaku Strzelca.

- Kochający naturę, przygodę, nieokielznani, namiętni... - Zaśmiał się cicho.

- Skąd wiesz?

- Sam jestem Strzelcem.

- A ja myślałam, że Lwem.

- Nie. Byłem gwiazdkowym dzieckiem. Urodziłem się cztery dni przed Wigilią. A ty?

- A ja dzień po tobie. Chociaż wolałabym urodzić się w maju. Tak lubię szmaragdy... - Westchnęła.

- Uważam, że turkus lepiej do ciebie pasuje. To tradycyjny kamień grudniowy. Przedkładałam go nad wszystkie inne.

Spojrzała na jego ręce - silne, opalone, o długich palcach. Na prawej dłoni lśnił sygnet z czworokątnym turkusem.

- Dopiero teraz go zauważyłam - powiedziała. Zerknął na jej dłoń. - Ty nie nosisz żadnej biżuterii. Dziwne...

- Mam piękny pierścionek po prababci, ale trzy mam go w domu, bo się boję. Jestem roztargniona i często gubię rzeczy.

Nadszedł kelner. Amelia zamówiła stek i sałatkę. Worth, ku jej miłemu zdziwieniu, również. Najwyraźniej starał się zachować linię. Przez cały czas zabawiał ją miłą rozmową. Cierpliwie tłumaczył jej zagadnienia związane z budową; nie wiedziała, że mogą być aż tak interesujące. Był uroczy i nadszpedzanie uprzejmy. Amy żałowała, że nie mają jeszcze kilku godzin czasu. Jeanette czekała już na nich w salonie na sofie.

- No, wreszcie jesteście! - zawołała, piorunując Wentwortha wzrokiem. - Jak mogłeś porwać moją towarzyszkę już pierwszego dnia i zamęczyć ją na śmierć! Nie dziwiłabym się, gdyby chciała odejść.

- Przecież zawarliśmy umowę - powiedział z uśmiechem i czule musnął ustami czoło babki. Amelia opadła tymczasem bezsilnie na fotel. Jedyne dobre wychowanie powstrzymało ją od zrzucenia pantofli z obolałych stóp.

- Pamiętaj, że na jutro muszę mieć te notatki - przypomniał jej bezlitośnie.

- Och! - wykrzyknęła nagle. - Mówiłeś, że masz zebranie rady nadzorczej.

- Cholera, zupełnie zapomniałem! Muszę zaraz do nich zadzwonić i jechać. Wybiegł z pokoju, a Jeanette Carson z uciechą puściła oko do Amelii.

- To zdarzyło mu się po raz pierwszy. Nigdy nic zapominał o zebraniach. Co ty mu zrobiłaś? - zapytała konfidencyjnym szeptem.

- Wypytywałam go, jak się buduje domy. Opowiadał mi bardzo interesujące rzeczy.

- Fakt, też uważam, że to ciekawe. No, dobrze i co zrobimy z tak pięknie rozpoczętym dniem? Proponuję, żebyśmy poopalały się i posłuchały muzyki.

- Nie mam kostiumu, ale chętnie posiedzę na słońcu - powiedziała Amelia i pamiętając, co opowiadał jej Worth, zapytała z porozumiewawczym uśmiechem:

- Jaką muzykę lubisz, Jeanette? - Oczywiście rocka - Bruce'a Springsteena, Lionela Ritchie, Michaela Jacksona i Prince'a - odpowiedziała bez namysłu starsza pani.

- Dzięki Bogu, bo ja też ich uwielbiam. - Kochana, widzę, że będziemy wielkimi przyjaciółkami. - Pani Carson uśmiechnęła się radośnie. - A teraz pomóż mi wstać i chodźmy szybko do ogrodu, nim Worth znów cię dopadnie. Notatki zdążysz opracować przed kolacją.

- Ale ja muszę wyjść o szóstej - zaprotestowała nieśmiało Amelia.

- Dobrze, nie zajmę ci zbyt dużo czasu. Na pewno zdążysz. A teraz chodźmy, bo szkoda słońca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Amy zjawiła się u Carsonów następnego ranka, Wortha już nie było. Czekając, aż jego babcia się obudzi, zaczęła studiować ogłoszenia o pracy. Znalazła dwie obiecujące oferty i zatelefonowała. Pierwsza okazała się nieaktualna; ktoś zapomniał odwołać anons. Druga posada była na szczęście jeszcze wolna, więc umówiła się na rozmowę następnego dnia. Pełna nadziei odłożyła słuchawkę. Praca sekretarki w biurze prawniczym najzupełniej by jej odpowiadała. Z holu dały się słyszeć niepewne kroki babci Carson, ciężko wspierającej się na chodziku. Starsza pani ubrana była w bermudy i luźną bluzkę, a siwe włosy malowniczo opasywała modna czerwona szarfa.

- O, jesteś! - ucieszyła się na widok Amy. - Ledwo się obudziłam. Na nocnym kanale był fantastyczny film kryminalny. Nie mogłam się oderwać.

- Jeanette, potrzeba ci więcej snu - upomniała ją łagodnie Amelia.

- Żartujesz, w moim wieku? Mam dziewięćdziesiątkę na karku i szkoda mi czasu. Już i tak niedługo czeka mnie Wielki Sen. Teraz mogę wreszcie robić to, na co nie śmiałam sobie dawniej pozwolić. Muszę wykorzystać ostatnie lata.

- Twarda sztuka z ciebie.

- Żebyś wiedziała! Twarda jak stare żołnierskie buty. Byłam przecież reporterką w dziale kryminalnym. Tam nie było miejsca dla rozkosznych pańienek.

- Tak jest! - odparła służbiście Amy, otwierając drzwi na taras.

- Dlaczego ubierasz się jak pańienka z biura? - zapytała Jeanette, ogarniając krytycznym spojrzeniem grzeczny kostiumik i gładki koczek dziewczyny. - Trochę luzu, moja droga. Będzie ci wygodniej. Jutro chcę cię widzieć w szortach i z rozpuszczonymi włosami.

- No tak, ale co na to powie... - Amy się zająknęła.

- Worth nie ma tu nic do powiedzenia. Ja cię zatrudniam - ucięła krótko Jeanette. - Zresztą on nieprędko się pojawi. Przecież buduje coś dla mnie, jak wiesz. - Zachichotała.

Usadowiły się wśród kwiatów na tarasie, przy małym stolyczku ze szklanym blatem, i czekały na lunch.

- To osiedle będzie należało do ciebie? - zapytała Amelia.

- Nie, ale z chęcią tam zamieszkam. Wreszcie będę mogła robić to, co mi się podoba, bez Wortha pilnującego mnie jak pies pasterski. Och, Jackie był zupełnie inny... - Westchnęła.

- Prawdziwy wolny duch, tak jak ja.

- Twój drugi wnuk?

- Tak. Skąd wiesz?

- Worth mi o nim opowiadał.

- Jackie miał szalone pomysły, za to Wentworth jest o wiele bardziej życiowy, a kiedy zapomina, że jest prezesem, potrafi być świetnym kompanem. Oczywiście nie zawsze zgadzamy się jak aniołki. On lubi postawić na swoim i potrafi zrobić kosmiczną awanturę podobnie jak ja. Dobrze by było, gdyby mógł mieć więcej czasu dla siebie. Ta kompania go kiedyś wykończy.

- Przypuszczam, że rekompensuje sobie pracą brak domu i dzieci - szczerze wyraziła swoje domysły Amy.

- Tak, zgadza się - przytaknęła Jeanette. - Próbowałam mu to uświadomić po odejściu Connie, lecz bezskutecznie. Nie chce się z nikim wiązać. Czuję się temu winna. Amelia nie śmiała pytać, choć dręczyła ją ciekawość. Jednak starsza pani momentalnie dostrzegła zaintrygowany wyraz jej oczu.

- Była jego sekretarką i była od niego o wiele młodsza. On miał pieniądze, ona marzyła o życiu w luksusie. Kupował jej diamenty i futra, podarował samochód. Ja jednak przejrzałam ją szybko. Niestety, popełniłam błąd, ostrzegając go przed Connie. Zaatakowała mnie jak rozwścieczona tygrysyca. Nie do wiary, ale wyobrażała sobie, że zdoła usunąć mnie z drogi i mieć Wortha wyłącznie dla siebie! - Chyba nie mówisz tego poważnie? - szepnęła Amy z przerażeniem. - Jak to nie? Oczywiście, nie twierdzę, że planowała morderstwo, ale usiłowała wykończyć mnie psychicznie. Kiedy tylko byliśmy sam na sam, mówiła mi, jak bardzo pragnie, żebym zniknęła z tego domu. Wymyślała tysiące złośliwości. Worth o niczym nie wiedział. Kochał ją ślepo, więc nie chciałam ranić jego uczuć. Oczy Jeanette zasnuły się bolesną mgłą wspomnień.

- Nie poddawałam się, toteż wprowadziła bardziej wyrafinowane metody. Niby przez nieuwagę tłukła moje cenne bibeloty albo fałszywie użalała się, że coraz gorzej wyglądam. Wreszcie nie mogłam tego dłużej znieść i opowiedziałam wszystko Worthowi. I nie uwierzył mi, Amy. Wiedział, że nie lubię Connie, więc przypisał to wszystko zazdrości - zakończyła ciężki oddychając.

- Musiał ją bardzo kochać - powiedziała cicho Amy. Mogła sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Worth należał do mężczyzn, którzy oddają się wybranej kobiecie ciałem i duszą, do końca.

- On ją czcił jak bóstwo, moja droga. Cierpiałam, ale rozumiałam. Powiedziałam mu, że jak tylko wezmą ślub, wyprowadzę się. I wkrótce ustalili datę, rozesłali zaproszenia. Ona sprawiła sobie ślubną suknię.

Amy, wsłuchana w opowieść, siedziała nieruchoma na samym brzeжку krzesła. - I co?

- I wtedy na tydzień przed uroczystością przyszła żona mojego wnuka odwiedziła mnie. Nie wiedziała, że Worth jest w domu. Chciała nacieszyć się swoim triumfem, upokorzyć mnie ostatecznie. Tym razem przeszła samą siebie - i udało jej się. Zdenerwowała mnie tak, że dostałam ataku serca. Nigdy nie zapomnę jej miny, kiedy Worth nagle stanął w drzwiach. Próbowła się tłumaczyć, ale popatrzył na nią jak na powietrze i zaczął dzwonić po pogotowie. Długo byłam w szpitalu - zacisnęła szczupłe, poznaczone żyłami ręce - więc nie wiem, co zaszło później między nimi. W każdym razie ślub został po cichu odwołany, a Worth ciągle dręczył się, że wówczas mi nie uwierzył. Miesiącami próbowałam go skłonić, by wreszcie o tym zapomniał, lecz ani razu nie sprowadził już do domu kobiety. I, o ile wiem, z żadną się już nie związał. Teraz mnie z kolei dręczy poczucie winy, gdyż uważam, iż jestem za to odpowiedzialna. Niestety, nic się nie da zrobić. Sumienie nie pozwala mu zaangażować się ponownie.

- A co się później stało z Connie?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie życzę jej jak najgorzej. Swoją drogą zadziwiające jest, jak bardzo ślepi są mężczyźni, jeśli chodzi o kobiety - nawet ci najbardziej inteligentni. Nie potrafią dostrzec szpetoty pod fałszywym blaskiem.

- Wszyscy wolimy się łudzić - stwierdziła gorzko Amelia.

- Pewnie tak. Sprawa Connie jest dla mnie szczególnie bolesna. Pomyśl, ona była moją ostatnią nadzieją na prawnuki. Niestety, wygląda na to, że Worth nie otworzy już nigdy swego serca dla kobiety.

- Mogłabyś jeszcze adoptować dziecko - podszeptała Amy. Starsza pani wybuchnęła nagle szczerym, głośnym śmiechem.

- Wspaniale na mnie działaasz, kochana. Zostań ze mną jak najdłużej.

Amy, zmieszana, spuściła wzrok. Niedługo pójdzie do nowej pracy i opuści Jeanette. Nie wyobrażała sobie, jak ma jej to powiedzieć. Na szczęście z kłopotu wybawił ją Baxter, wnosząc tacę z jedzeniem.

Było już po ósmej wieczorem i Amelia szykowała się do wyjścia, kiedy w drzwiach stanął Wentworth Carson. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Rozchełstana koszula odsłaniała ciemny zarost na piersi, a wąskie spodnie opinały muskularne uda. W przyćmionym świetle kinkietów wyglądał na jeszcze wyższego i potężniejszego. Pełgające po czarnych włosach odbłyски wydobywały granatowe lśnienia. Wyciągnął z kieszeni jakiś papier, patrzył na niego przez chwilę, a kiedy podniósł oczy, dostrzegł nagle sylwetkę dziewczyny w głębi holu.

- Gdzie jest babcia? - rzucił.

- Rozmawia przez telefon. Zjadła lekką kolację i poszła do swojego pokoju, żeby poplotkować sobie z przyjaciółką.

Zmęczonym gestem przeczesał palcami włosy. Na policzkach ciemnił mu się niebieskawy cień zarostu. Nieodparcie przypominał Amy Clarka Gable'a.

- A ja... zrobiłam to, co ci obiecałam - zająknęła się, przysuwając się bliżej wyjścia.

- Nie pamiętam, o co chodzi.

- Chyba udało mi się załatwić inną pracę - wyjaśniła, starając się wykrzesać z siebie entuzjastyczny ton. - Posadę sekretarki w biurze prawniczym. Jutro umówiłam się na rozmowę. - Już ci się u nas znudziło?

- Sam powiedziałaś, że mam sobie poszukać czegoś innego.

- Ona się już do ciebie przyzwyczaiła - powiedział z niezadowoleniem. - Jeśli pozwolę ci odejść, zrobi mi piekło.

Amy zamilkła bezradnie. Błądziła wzrokiem po jego zmęczonej twarzy. Tak bardzo pragnęła go dotknąć, pocieszyć.

- Masz takie wyraziste oczy - szepnęła nagle. Pochylił się ku niej i czule pogładził ją po policzku. - Czyżbyś się mną przejmowała, Amy? - zapytał z bladym uśmiechem.

- Musisz być wykończony - powiedziała głosem aż nazbyt zdradzającym uczucia.

- Owszem. Miałem ciężką przeprawę z władzami miasta, do tego na pusty żołądek.

- W kuchni są zimne przekąski, które zostały z kolacji.

- A ty już jadłaś?

Miała wielką ochotę zaprzeczyć, żeby zostać z nim dłużej.

- Tak - powiedziała z przymusem, choć dietetyczną sałatkę, którą zjadła, nie chcąc robić przykrości Jeanette, trudno było nazwać posiłkiem. - Muszę już wracać do domu, bo oczekuję ważnego telefonu.

- W porządku, zatem jedź. - Odstąpił od drzwi. Zatrzymała się z ręką na klamce i zerknęła przez ramię. Wydawał się taki samotny...

- Baxter już wychodzi, tak samo jak ogrodnik i pokojówka - powiedział, znużonym ruchem ściągając marynarkę. Było już wpół do dziewiątej. - Chyba obejdę się bez kolacji - dodał, patrząc na nią wyczekująco.

- Mogę ci coś przygotować - zaproponowała.

- Byłoby mi bardzo miło, ale co z twoim pilnym telefonem? - zapytał z przewrotną miną.

- Jakoś przeżyję...

Bez słowa odwrócił się i ruszył do ogromnej kuchni. Amy podążyła za nim i szybko

zaczęła przyrządzać kanapki. Zaparzyła kawę i rozlała ją do filigranowych chińskich filiżanek. Z rozbawieniem patrzyła, jak Worth delikatnie ujmując ogromną dłoń kruche cacko.

- Bardziej nadawałby się dla ciebie duży kubek - skomentowała.

- Wcale nie mam takich wielkich łap. – Zachichotał i ujął jej smukłą dłoń w swoją, oceniając różnicę, Miał piękne, opalone, silne ręce o kształtnych paznokciach. Czowała ich moc. Przeguby porastały ciemne włosy.

- Ależ jesteś kosmaty - zauważyła odruchowo podnosząc wzrok ku wycięciu jego koszuli.

- Tak, na całym ciele. - Od razu dostrzegł jej rumieniec. - Nie lubi pani owłosionych mężczyzn, panno Glenn?

- N... nie wiem.

Ścisnął znacząco dłoń Amy i pociągnął ją ku sobie, aż wylądowała na jego kolanach.

- Zaraz się przekonamy - zamruczał gardłowo. Co za arogancka męska bestia, pomyślała czując, jak pod dotykiem jej ciała prężą się twarde mięśnie.

- No, zobacz - powiedział, ujmując jej dłoń i wsuwając sobie pod koszulę. Zagłębiła palce w elastyczną gęstwę włosów.

- Jestem zarośnięty jak niedźwiedź, co?

To było nieuczciwe. Zawładnął nią całkowicie, pozbawił woli. Nawet nie podejrzewała, że sam dotyk może tak rozpalić zmysły. Prowadził jej rękę po swoim ciele, ucząc pieszczot.

- Bardzo lubię być dotykany - mruknął rozkosznie.

- A już szczególnie tu - powiedział, patrząc Amelii głęboko w oczy i kładąc jej palcom sunąć w dół, po płaskim brzuchu.

- Nie! - Szarpnęła się, gdy natrafiła na klamerkę paska.

- Jest pani bardzo zahamowana, panno Glenn - zauważył.

- Nie prosiłam o prywatne lekcje - zachnęła się.

- Nie, moja wielkooka, nie prosiłaś. Ale myślę, że trochę wiedzy nie zawadzi.

- Dobrze, wynajmę sobie zigołaka - obiecała.

- Tylko puść mnie już.

- Dlaczego? Przecież nic od ciebie nie chcę. Jeszcze nie...

- Nigdy! - wybuchnęła. - Pracuję tu tylko czasowo i zatrudnia mnie pani Carson. Nie mam obowiązku zaspokajania twoich apetytów seksualnych.

- Och, to ci nie grozi. Przecież nawet nie wiedziałabyś, jak to zrobić, prawda?

- Nie, nie wiedziałabym - przyznała szczerze, choć z irytacją. - I dzięki Bogu. Przynajmniej nie będzie mnie do ciebie ciągnęło! Worth spokojnie przesunął opuszką palca po jej pełnych wargach.

- A szkoda - powiedział przeciągle. - Nic bym nie miał przeciwko temu.

- Ale ja bym miała. Bardzo proszę, Wentworth, przestań traktować mnie jak swoją nową zabawkę - zasyczała, próbując wyrwać się z uścisku. Niestety, silne ramię więziło ją jak stalowa obręcz - Mylisz się. Wcale tak o tobie nie myślę - wyszeptał i zaczął wyjmować spinki z jej koka. Szarpnęła się, lecz osiągnęła tylko tyle, że długie włosy opadły ciemną falą. Zaczął gładzić je z zachwytem.

- Są jak najpiękniejszy jedwab. Zapomniałem już, jak podniecający może być dotyk długich kobiecych włosów.

- Można by pomyśleć, że zwykle romansujesz z łysymi babami. - Zachichotała nerwowo. - A teraz, skoro już się nacieszyłeś, może mnie puścisz?

Zdawało się, że nie słyszał jej słów. Jak w transie przesuwał palcami po delikatnych rysach i zmysłowych wargach.

- Nie wyglądasz na dwadzieścia osiem lat - powiedział, chyląc ku niej głowę. - Chcę cię, Amy.

I nim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, zamknął jej usta pocałunkiem. Już nie protestowała. Wciągnął ją powolny, narastający rytm pieszczoty. Odruchowa wczepiła palce w gęstwą włosów na piersi mężczyzny. Drgnął gwałtownie i zeszywniał.

- Cudownie - zaszeptał. - Zrób to jeszcze raz.

Powoli uniosła powieki. Oczy miała szare i zamglone jak deszczowy dzień. Znów zacisnęła palce. Worth uśmiechnął się triumfalnie, jak zdobywca pewien swojej potęgi. Normalnie czułaby się poniżona, lecz u tego faceta nawet arogancja była naturalna i pociągająca. Z rozchyłonymi ustami czekała na kolejny pocałunek. Instynktownie wyprężyła się i przyłgnęła do niego.

- Teraz to czujesz, prawda? - zapytał niskim, chrapliwym głosem. Znów zawładnął jej ustami i przycisnął do siebie tak, że napięte pod cienkim stanikiem sutki bodły jego pierś. Potem zaczął sunąć wargami niżej, ku szyi, chciwie wdychając ciepły, delikatny zapach kobiecego ciała. Amy wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia i trwała tak, napawając się nieznanymi, ekscytującymi doznaniem. Teraz już nie broniła dostępu do siebie i Worth wiedział o tym. - Amy, smakujesz tak delikatnie... tak dziewiczo - szeptał, znów wracając ku jej ustom. Tym razem jego wargi były twarde i niecierpliwe. Czowała pożądanie narastające w głębi potężnego męskiego ciała i drżała, przeniknięta oczekiwaniem.

- Gdybym chciał cię wziąć - wydyszał nagle - czy oddałabyś mi swoje ciało z taką samą pasją, z jaką oddajesz mi pocałunki? Spojrzała na niego tak wymownie, że niemal zmiądzzył ją w ramionach. Wczepiła się palcami w jego pierś i poczuła, jak dziko go pragnie. Gwałtownie złapał ją ręką za włosy i unieruchomił jej głowę. Źrenice miał zwężone, a oczy pociemniałe z pożądania. Wolną ręką zaczął rozpinać jej bluzkę, napawając się widokiem piersi, przęających się pod koronkami stanika. Prowokował ją, by zaprotestowała, lecz nawet nie przyszło jej do głowy, by stawiać opór. Wręcz przeciwnie, marzyła, by ulec.

- Chcę cię rozebrać, Amy - powiedział spokojnie.

- A kiedy już cię rozbiore, będę pochłaniał każdy centymetr twego ciała oczami i ustami. Teraz już wstrząsały nią gwałtowne spazmy, tak bardzo zapragnęła mężczyzny. Prężyła ku niemu ciało, dysząc i rozchylając nabrzmiałe usta. Kiedy miał się właśnie uporać z ostatnim guzikiem, w głębi domu nagle skrzypnęły drzwi. Amy dosłownie sfrunęła z kolan Wortha i trzęsącymi się palcami zaczęła zapinać bluzkę. Nawet nie drgnął, tylko obserwował spokojnie, jak się miota, usiłując obciągnąć ubranie i doprowadzić do ładu włosy. W oczach igrał mu dziwny błysk, jakiego jeszcze nie znała.

- Chyba o czymś zapomniałaś. Proszę. - Nachylił się i uprzejmie podał jej spinki. Przez moment przytrzymał jej dłoń w swojej. - Proszę, nie idź tam jutro. Zostań u nas - powiedział łagodnie. Przerwała na moment czesanie i spojrzała mu prosto w oczy.

- Worth, nie prześpię się z tobą - oświadczyła stanowczo, nasłuchując zbliżających się kroków.

- W porządku, nie musisz - zgodził się dziwnie łatwo.

- Bardzo się cieszę. A teraz idę do domu - powiedziała stanowczo i chwytając torebkę, ruszyła ku wyjściu. W drzwiach zderzyła się z Jeanette.

- Hej, myślałam, że już poszłaś - uśmiechnęła się starsza pani. - Worth, Klara zaprasza mnie jutro wieczorem na brydża. Podwieziesz mnie?

- Tak, oczywiście.

Pani Carson uważnie popatrzyła to na jedno, to na drugie.

- Tylko się nie kłóćcie - upomniwała ich, mylnie interpretując napięte miny obojga. - Amy ledwo trzyma się na nogach. Ostrzegam cię, mój drogi, że jeśli będziesz zmuszać ją do takiej harówki, wyniosę się do domu starców - powiedziała z groźną miną.

- Nie żartuj, przecież wyrzuciliby cię stamtąd po kilku dniach - zaśmiał się Worth.

- No dobrze już, dobrze - mruknęła. - Dobranoc, Amelio. Do jutra.

- Dobranoc... - Amy wyszła, nie spojrzawszy nawet na Carsona.

Długo jeszcze leżała bezsennie w łóżku, bez końca odtwarzając słodkie sam na sam w

kuchni. Tak chciała, by Worth rozpiął jej bluzkę, by patrzył na nią, dotykał jej. Drżała z niepojętego pożądania, lecz namiętność nie była w stanie stłumić lęku. Ile ryzykowała, zgadzając się pozostać ? Co prawda obiecał, że zostawi ją w spokoju, ale jeśli będzie naciskał? Wiedziała, że nie będzie zdolna go odepchnąć. Za bardzo pragnęła tego mężczyzny. A czego pragnął Worth? Czy uwodził ją tylko dla sportu? Był dla niej miły, gdyż spodobała się Jeanette? Czy, co gorsza, robił to z litości? Zacisnęła zmęczone powieki. Po co to wszystko? Po co wiązać się z mężczyzną ryzykując, że okaże się bawidamkiem, pijakiem albo bigamistą. Nie, stanowczo nie! Lepiej być samą.

Umocniwszy się w tym przekonaniu, wreszcie zdołała zasnąć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Amelia zrezygnowała z szukania innej pracy i całkowicie poświęciła się nowemu zajęciu w domu Wentwortha Carsona. Pracowała o najdziwniejszych porach i często wracała do siebie bardzo zmęczona. Nigdy jednak nie narzekała. Życie wreszcie nabrało dla niej uroku. Wortha widywała rzadko, gdyż większość czasu spędzał poza domem, zajęty sprawami nowej budowy. Od czasu do czasu podrzucał jej notatki do zredagowania, lecz dnię spędzała głównie na fascynujących rozmowach z Jeanette. Starsza pani sypała jak z rękawa sensacyjnymi opowieściami z czasów, gdy była reporterem kryminalnym. Amelia słuchała z szeroko otwartymi oczami tych historyjek rodem z ulicy i przestępczego półświatka, dodatkowo jeszcze ubarwionych na jej użytek.

I tak lato przeszło niepostrzeżenie w jesień, a Amy z radością wyruszała każdego ranka do Lincoln Park. Posiadłość otaczał wielki ogród. Kiedy tylko miała wolną chwilę, wymykała się tam, by dać upust swojej miłości do wszystkiego, co rośnie.

Pewnego poniedziałku Worth wytrącił ją z ustalonego rytmu, wzywając do siebie w porze, kiedy już dawno powinien być w firmie. Od czasu pamiętnego epizodu przy kuchennym stole zachowywał wobec Amy uprzejmy dystans, pod którym jednak kryło się napięcie. Ona zaś, znając jego przeszłość z opowieści Jeanette, przyjęła podobną taktykę, tłumiąc w sobie zaskakujące pragnienia i tęsknoty. Na razie układ funkcjonował bez zarzutu. Kiedy się spotykali, rozmawiali ze sobą swobodnie, jak starzy przyjaciele.

Amelia, ubrana w białe spodnie, wydekoltowaną bluzkę, z rozpuszczonymi włosami, wkroczyła do gabinetu Wentwortha. On również był na luzie, w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami. Na jej widok wstał zza biurka i długą chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Coś nie w porządku, szefie? - Pytając prze krzywiła głowę.

- Nie, skąd. Zapraszam cię na przechadzkę. Dzień był piękny. Schyłek lata dodał ogrodowi nowego uroku. Bujne kępy kwiatów i krzewów pyszniły się wśród wysokich drzew.

- Mam coś dla ciebie - powiedział nagle Worth.

- Coś dla mnie? - Amy przystanęła na ścieżce zdumiona.

- Uhm... - mruknął. - Chodź. Poprowadził ją ku ścianie domu i pokazał sporą działkę, świeżo skopaną i zagrabioną. Nie wierzyła własnym oczom.

- To dla mnie? Naprawdę? - ucieszyła się jak dziecko.

- Tak. Hoduj sobie wszystko, co lubisz.

- Och, Worth, jak ci dziękuję! - Impulsywnie rzuciła mu się na szyję i uściskała mocno. Promieniała radością.

Worth położył wielkie dłonie na jej ramionach głęboko spojrzął w oczy.

- Dziewczyno, to i tak za mało. Zaslugujesz na więcej. Zrobiłaś tyle dobrego dla babci i dla mnie. Czy wiesz, że ona cię po prostu uwielbia? . - Ja również ją uwielbiam - szepnęła Amelia i, przymykając oczy, przywarła policzkiem do szerokiej piersi mężczyzny. Tak naturalne wydawało się trwać w jego objęciach tu, w cieniu drzew, z dala od świata i ludzi. - Amy...

Drgnęła zaalarmowana tonem jego głosu. Wszystko zaczynało się od nowa, a ona nie była na to przygotowana. Jeszcze nie... Łagodnie, lecz stanowczo wysunęła się z objęć Wortha i spuściła wzrok. Nie była w stanie teraz patrzeć mu w oczy.

- I co ja tu zasadzę? - zapytała sztucznym, pełnym napięcia głosem, nerwowo splatając palce. Poczowała, że Worth staje za jej plecami. Objął ją w talii i mocno przyciągnął do siebie.

- Ogrodnik ma na imię Harry. Poproś go, a dostarczy ci wszystkiego.

- Nie, nie będę go fatygować. Sama kupię to, co będzie potrzebne.

- Powiedziałem, że wszystko dostaniesz. - Tyran!

Przesunął dłonie ku górze, obejmując jej piersi Serce Amy załomotało dziko. Zaśmiał się nisko, gardłowo.

- W zasadzie, jako człowiek dobrze wychowany, nie powinienem tego robić w biały dzień - przyznał.

Amy wmawiała sobie usilnie, że sytuacja nie wykracza poza styl zwykłych żartów Wortha. Uznała, że mimo wszystko może czuć się bezpiecznie. W tym samym momencie poczuła dotknięcie gorących warg na szyi. Z wolna obrócił ją ku sobie i wpatrzył się w jej twarz wzrokiem tak pełnym pożądania, że dosłownie zaparło jej dech.

- Boże, próbowałem... ale już nie wytrzymuję - wyszeptał.

Nagłym ruchem objął ją w talii i uniósł w ramionach jak piórko. Objęła go za szyję i pozwoliła się zanieść do stojącej niedaleko altany. Tam postawił ją delikatnie na ziemi. Oddychał chrapliwie. Czowała gwałtowne uderzenia jego serca. Czującym ruchem pogładził ją po twarzy.

- Pamiętam taki obrazek z dzieciństwa... Była na nim wróżka. Miała długie ciemne włosy, niebieskie oczy i cudowną figurę jak ty. Ile razy patrzę na ciebie, Amy, zawsze rozbieram cię wzrokiem. Chciałbym cię porwać do łóżka i nauczyć wszystkiego. Nie dokończył i wpił się w jej usta, tym razem twardo, zachłannie i brutalnie. Natychmiast wspięła się na palce i przylgnęła do niego. Mocno objął jej biodra i przyciągnął do siebie, aż przez cienki materiał spodni wyczuła twardą, gotową męskość.

Odchylił na moment głowę i spojrzął na nią zdumiony.

- Ty się nie boisz!

- Nie. Już nie - szepnęła z leniwym, rozmarzonym uśmiechem i powoli zaczęła rozpinąć mu koszulę. Znieruchomiał pod dotknięciem jej dłoni, z wysiłkiem starając się zapanować nad oddechem.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak pragnąłem kobiety - wydyszał.

- Czy to cię martwi? - zapytała łagodnie.

- Trochę... Ale nie, proszę, nie przestawaj - zaprotestował czując, że się waha. Uniosła rękę i powiodła opuszkami palców po twardym podbródku, zmysłowych wargach, wydatnym orlim nosie i ciemnych gęstych rzęsach.

- Lubię twoją twarz - powiedziała. - Jest taka męska i wyrazista.

- Ale nie przystojna...

- Nie. Za to pociągająca - pocieszyła go i śmiało powędrowała spojrzeniem w dół, ku pasmu ciemnych włosów, zbiegających się nad paskiem od spodni.

- Zdecydowałaś już, czy lubisz kosmatych facetów? - zainteresował się nagle.

- Jeśli mam być szczerą, to nigdy nie byłam naprawdę blisko półnagiego mężczyzny - wyznała.

- Jak to, a były narzeczonej?

- Zawsze nosił podkoszulek. Nie widziałam go nawet w spodenkach kąpielowych. I całe szczęście.

- Roześmiała się. - Był chudy jak tyczka. Teraz myślę, że po prostu wstydział się swojej chudości. Z prawdziwym zachwytem ogarnęła spojrzeniem szerokie bary Wortha.

- Nigdy nie widziałam kogoś takiego jak ty. Nawet na zdjęciach.

Przygryzł wargi, z trudem panując nad sobą. Ujął Amelię pod brodę i głęboko popatrzył jej w oczy.

- Dziecinko, nie igraj z ogniem, kiedy w pobliżu masz benzynę - ostrzegł. Głęboko wciągnęła oddech.

- Czy nie miałbyś ochoty mnie uwieść? - zapytała z nagłą determinacją. - Przecież wiesz, że masz przed sobą dwudziestoosmioletnią dziewczycę, istnego dinozaura. Któregoś dnia dokonam żywota, nie dowiedziawszy się nawet, jak to jest być kobietą.

Worth nie roześmiał się. Przyciągnął ją bliżej. Rysy mu stężały, a w oczach pojawił się błysk napięcia.

- To by nazbyt skomplikowało sytuację - powiedział po dłuższej chwili. - Babcia bardzo cię potrzebuje, a gdybyśmy zaczęli, mogłabyś ją zaniedbać.

- Och, czyżbyś był aż tak dobry w łóżku? - Pełna urażonej dumy Amy z trudem siłła

się na lekki ton.

- Jestem po prostu doświadczony, zaś seks jest jak zajadanie się chipsami - cholernie trudno przestać, kiedy się już raz zacznie. Uzależnilibyśmy się od siebie, a ja nie jestem na to przygotowany.

- Masz już czterdziestkę na karku...

- Trudno, uschnę w starokawalerstwie. - Wzruszył ramionami, lecz błyskawicznie spoważniał. - Amy, w moim życiu była kobieta. Nie będę się wdawał w szczegóły, powiem ci tylko, że postąpiła wobec mnie niegodziwie. Do dziś nie mogę się po tym podnieść.

- Rozumiem - powiedziała łagodnie dziewczyna uznając, że nie ma sensu zdradzać, iż zna tę historię. - Twoja babcia powiada, że przez całe życie zważała na innych i dopiero teraz, kiedy odrzuciła wszelkie nakazy i powinności, czuje, że naprawdę żyje Czyżbyś miał zamiar być jej odwrotnością?

- No, proszę, kto mnie poucza... - zakpił - Masz rację, pewnie się mądrzę, ale zrozum, ty jesteś mężczyzną. Możesz sobie upolować każdą, którą zechcesz. A. ja... ja muszę czekać. Nie potrafiłabym skakać z łóżka do łóżka. Nic wierze w czysto fizyczne związki. Potrzebuję kochanka i przyjaciela zarazem.

Worth czule pogładził jej rozpaloną twarz. Chwilę jakby się wahał.

- Marzę, byś stała się moim najlepszym przyjacielem, ty moja dziewczynko z prowincji - powiedział poważnie. - I jeśli tego chcesz, zostaniemy kochankami. Amy wyprostowała się z niedostrzegalnym westchnieniem.

- Och, Worth, tak chciałabym się z tobą kochać. Ale, niestety, masz rację twierdząc, że wszystko by się skomplikowało.

- I tak się komplikuje - mruknął. - W każdym razie lubię cię smakować od czasu do czasu.

- A ja lubię kosmatych mężczyzn - szepnęła.

- A ja - kobiety z ogromnymi oczami, w których płonie pożądanie. - Roześmiał się i pieszczotliwiej musnął długie pasmo jej włosów. - Musimy już iść. Za chwilę babcia zejdzie na obiad. Po drodze opowiesz mi, co zasadzisz.

- Tak, Worth.

Ruszyli powoli kwietną alejką, trzymając się za ręce. Rozmarzona Amelia zerkała na potężnego mężczyznę, który siedł u jej boku jak obłaskawiony wielkolud. Co za cudowny, szczęśliwy dzień!

W holu wybiegł na ich spotkanie Baxter z twarzą białą jak kreda.

- Panie Worth - wykrztusił. - Pańska babcia... Ona ma chyba atak serca!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Następne kilka godzin upłynęło Amy jak w koszmarnym śnie. Kiedy wpadła za Worthem do pokoju Jeanette, starsza pani, krzycząc z bólu, trzymała się za pierś. Wezwano karetkę i domowego lekarza. Twarz chorej była upiornie blada, ciężki oddech spazmatycznie wydobywał się z płuc, a skórę pokrywał lodowaty pot. Amy, która widziała już kilka takich ataków, natychmiast rozpoznała symptomy. Wiedziała, że jeszcze chwila i może już być za późno. Siedziała u wezgowia łóżka, ogrzewając w dłoniach zimne ręce starszej pani i szeptała jej słowa otuchy. Worth chodził nerwowo po pokoju, co chwila wyglądając przez okno. Wreszcie dało się słyszeć wycie syreny i na podjeździe, błyskając czerwonymi światłami, zahamowała karetka reanimacyjna. Już po kilku minutach gnała na sygnale do szpitala. Worth pojechał z babcią, a Amy usiłowała nadążyć za nimi, zmuszając swojego starego forda do rajdowych wyczynów. Kiedy dotarła na miejsce, Wentworth siedział już w poczekalni na ostrym dyżurze, wśród podobnie jak on przejętych i zdenerwowanych ludzi. Wcisnęła się pomiędzy niego a tęgą kobietę i z troską ujęła potężną dłoń. W drugiej trzymał papierosa, którym raz po raz się zaciągał. Dotąd nie widziała go palącego.

- Wiesz już coś? - zapytała łagodnie.

- Nie - szepnęła i tępo wpatrzył się w ścianę. Wyglądał strasznie, jak gdyby cały jego świat runął nagle, pograżając go w rozpacz. Dręczył się, zawieszony w pustce między nadzieją a zwątpieniem. Amy wiedziała, że w żaden sposób nie może mu ulżyć w tej samotnej walce. Pozostało tylko czekanie. Po nieskończonym długim czasie pojawił się wreszcie lekarz, skinął na niego i zaczął coś długo tłumaczyć. W miarę jak mówił, mina Wortha stawała się coraz bardziej posępna. Jeszcze dobrą minutę po odejściu doktora stał, paląc kolejnego papierosa, jakby nie wiedział, co robić. Wreszcie zerknął na Amy, dał jej znak, by poczekała i wybiegł z holu. Kiedy wrócił, miał jeszcze bardziej zaciętą twarz.

- Jesteś samochodem? - zapytał nerwowo.

- Tak. Stoi na parkingu.

W milczeniu skierowali się do wyjścia. Amy nie śmiała o nic pytać. Nie pozwalał jej na to wyraz jego oczu tragicznie martwy i pusty. Gdy zmagła się z opornym zapłonem, Worth stał obok samochodu, zapalając kolejnego papierosa. Wyglądał jak człowiek, który nie bardzo wie, gdzie się znajduje.

Dopiero kiedy wyjechali za bramę szpitala, wzrok mu się nieco ożywił.

- On nie sądzi, żeby to był zawał - powiedział po chwili. - Podejrzewa raczej zapaść. Nie może jednak powiedzieć nic wiążącego, dopóki nie wykona wszystkich testów.

Najpilniejszy jest angiogram. Jeśli jej stan się nie pogorszy, spróbują zrobić go rano.

- Rozumiem - szepnęła Amelia. Wiedziała dokładnie, o co chodzi, lecz nie miała zamiaru wyjaśniać Worthowi, że angiogram nie jest bynajmniej rutynowym badaniem. Najprawdopodobniej lekarze podejrzewali zator bądź uszkodzenie zastawki. Pozytywny wynik testu oznaczałby konieczność operacji. Biedna Jeanette!

- Zabrali ją na oddział intensywnej terapii - ciągnął Worth, nerwowo przeczesując palcami zmierzwione włosy. - Mają tam ścisły reżim - odwiedziny są trzy razy dziennie po dziesięć minut. Teraz wpadnę do domu, przebiorę się, wezmę swój samochód i wrócę, żeby być przy niej.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Owszem, mogłabyś zostać u nas i przez dwa dni chronić mnie przed całym światem. Nie dam rady zajmować się jednocześnie interesami i babcią.

- Dobrze, zabiorę tylko od siebie kilka rzeczy - zgodziła się bez namysłu. - A ty dasz mi listę osób, które prawdopodobnie zadzwonią i wskazówki, co mam im powiedzieć. Jakoś sobie poradzę - oświadczyła bohaterko, biorąc ostry zakręt, aż zatrzeszczały stare resory. Słyszac to Worth drgnął nagle i wyraźnie odzyskał poczucie rzeczywistości.

- O, Jezu, ten grat jedzie! - wykrzyknął z autentycznym zdumieniem, zerkając na odrapaną tapicerkę i wsłuchując się w astmatyczny odgłos silnika.

Amy ucieszyła się, że coś wreszcie odciągnęło jego uwagę od zmartwień. Zerknęła ostrzegawczo na swojego pasażera i położyła palec na ustach.

- Psst! Nic nie mów. Jeszcze go obrazisz i złośliwie rozkraczy się na środku skrzyżowania.

- Jak można obrazić takiego grata? - prychnął. - Nie zdawałem sobie sprawy, że to aż taka ruina.

Gdybym wiedział, dawno już kupiłbym ci coś innego!

- Nic mi pan nie musi kupować, panie Carson. Jak dotąd, daję sobie sama radę - odparła urażonym tonem.

- Tak, żywiąc się kanapkami z rybą z puszki i jeżdżąc starym gruchotem.

- Lubię mojego staruszka. Ma charakter.

- Tak, a na ten charakter składa się rozklekotana rama, przepalone zawory i dychawiczny gaźnik. A przyznaj się, ile razy musisz pompować pedał, żeby hamulec w ogóle zadziałał? Rzuciła mu gniewne spojrzenie, gwałtownie skręcając na podjazd.

- Następnym razem weźmiesz mercedesa, a ja pojedę do szpitala rollsem - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Słuchaj, Worth...

- Nie kłóć się ze mną, kochanie - poprosił słodkim tonem, który kompletnie zbił ją z tropu. Wjechała do garażu i zgasiła silnik. Zaciśnęła zęby słysząc, jak rzezi jeszcze po wyłączeniu stacyjki. Worth wysiadł, uprzejmie otworzył jej drzwiczki i sięgnął do kieszeni. Po chwili wyłowił kluczyki i wetknął jej do ręki. Były jeszcze ciepłe od jego dotknięcia.

- Proszę, Amy, nie kłóć się już - powtórzył, patrząc jej znacząco w oczy. - Nie musisz się bać. Jest ubezpieczony na wszystkie ewentualności. Jak zrobisz stłuczkę, nawet nie mrugnę okiem. A teraz chodź, dam ci listę nazwisk - powiedział, serdecznie obejmując ją ramieniem i prowadząc do domu.

Sporządzanie listy trwało kilkanaście minut. Wentworth Carson miał interesy dosłownie na całym świecie, między innymi w Ameryce Południowej, gdzie prowadzono negocjacje w sprawie bardzo korzystnego kontraktu.

- A co z twoim ukochanym osiedlem dla emerytów? - zapytała.

- Mam przecież zastępców. Mogę im całkowicie zaufać. Nie zapominaj, że kluczem do sukcesu jest dobór odpowiednich ludzi. Zresztą - dodał z westchnieniem - najważniejsza jest teraz babcia. Reszta może poczekać. Rzucił okiem na zegarek.

- Słuchaj, za godzinę jest ostatnie dzisiejsze widzenie. Muszę jechać. Dasz sobie radę?

- Myślę, że tak - uspokoiła go, jeszcze raz spojrzawszy na gęsto zapisaną kartkę. - Teraz wyskoczę tylko szybko do siebie, zabiorę parę drobiazgów i zaraz wracam, żeby czuwać nad twoimi interesami.

Kiwnął głową z zadowoleniem i wyszedł do swojego pokoju.

- Worth... - zawołała cicho. - Tak? - Odwrócił się z wolna. Było coś przeraźliwie smutnego w tej potężnej postaci, zgarbionej teraz, jakby przygniatał ją ciężar ponad siły.

- Jeanette jest twarda. Twarda jak stare żołnierskie buty. Sama mi to mówiła. Gdybym miała żyłkę do hazardu, postawiłabym sto do jednego, że niedługo zacznie ćwiczyć break dance.

- Ja też, ale ona ma prawie osiemdziesiąt sześć lat Amy.

- Och, mój dziadek ma osiemdziesiąt siedem i nadal uprawia swój ogródek. Uśmiech ożywił na moment smutne rysy Wortha.

- Lubię cię, Amy Glenn - powiedział na pożegnanie.

Pełna napięcia wsiadała do mercedesa, lecz udało się jej bez przygód wyjechać z garażu i dotrzeć do siebie. Wstąpiła jeszcze do Kennedych, by powiadomić, że będzie nieobecna przez kilka dni.

Ich uprzejmość wzruszyła ją niemal do łez. Obiecali, że dopilnują mieszkania i

zaoferowali wszelką pomoc. Podziękowała wylewnie i szybko ruszyła z powrotem.

Drzwi otworzył jej Baxter. Miał zmartwioną twarz. Służył w tej rodzinie od dwudziestu lat i był niezmiernie przywiązany do swojej chlebodawczyni.

- Czy miałeś jakieś wieści ze szpitala?

- Nie, proszę pani. - Westchnął ciężko.

- Pan Worth mówi, że lekarze są znakomici, a szpital wyposażony w najnowocześniejszą aparaturę.

Pozostaje nam jedynie czekać i mieć nadzieję - próbowała go pocieszyć. Uśmiechnął się blado.

- W każdym razie bardzo panią proszę, by po moim wyjściu, jeśli tylko...

- Tak, tak, Baxter, na pewno zadzwonię. Znam panią Carson dopiero od niedawna, ale zdążyłam już pokochać ją jak własną babcie i tak samo drzę o jej życie - zapewniła. Kiedy oddalił się, Amy pochwyciła torbę i niepewnie ruszyła korytarzem. Była tu wiele razy, a nie wiedziała nawet, gdzie jest pokój gościnny! Z determinacją nacisnęła klamkę najbliższych drzwi.

Obraz, jaki ukazał się jej oczom, był imponujący: królewskie łoże nienagannie zasłane zieloną narzutą, zasłony w podobnym odcieniu i kremowy dywan na podłodze. Nawet bez widoku ubrań, zwalonych w nieładzie na wielki fotel, domyśliłaby się, że ta komnata należy do Wortha. Szybko zatrzasnęła drzwi i przeszła do następnych. Zobaczyła miły pokój w różowo - białej tonacji, który wyraźnie wyglądał na gościnny. Z ulgą rzuciła swoją podręczną torbę na łóżko. Natychmiast jednak zdjęła ją i wstawiła w kąt, zobaczywszy, jak stara i wytarta wydaje się na tle eleganckiej jedwabistej narzuty. Nie tracąc czasu przeszła do gabinetu i zasiadła przy ogromnym biurku, czekając na telefony.

Już po chwili zadzwoniło kilku klientów z listy.

Niespodziankę sprawiła jej niejaka pani Cade, której nie uwzględniono w wykazie, a która zdawała się znać Wortha więcej niż dobrze. Amy najuprzejmiej jak mogła odpowiadała na obcesowe pytania, w duchu skręcając się z zazdrości.

- Proszę przekazać, żeby zadzwonił do mnie zaraz, jak tylko wróci - zakończyła apodyktycznie podejrzana rozmówczyni. - Przykro mi z powodu jego babci, ale to pilne.

O, do licha, co za egoistyczny babsztyl! Krew porywczych szkocko - irlandzkich przodków dosłownie zagotowała się w Amy.

- Czy pani nie wie, co to jest atak serca? W tej chwili nie ma dla Wortha ważniejszych spraw niż zdrowie ukochanej osoby! - syknęła wściekle w słuchawkę. Po drugiej stronie linii zapadło milczenie.

- Nikt nigdy nie mówił do mnie w ten sposób dosłyszała w końcu usztywniony głos.

- W takim razie cieszę się, że jestem pierwsza odpaliła z satysfakcją. I jeśli pani chce rozmawiać z Wentworthem, będzie pani musiała poczekać, aż sam uzna za stosowne się odezwać. Pewnie nawet nie wie pani, co to znaczy, gdy komuś bliskiemu grozi śmierć ale on przeżywa tragedię i ostatnia rzecz, jakiej mu teraz potrzeba, to napastowanie przez bezduszną egoistkę.

- Ty bezczelna mała... Kim w ogóle jesteś?!

- Jęzżą o ostrych kłach - poinformowała uprzejmie Amy. - I spróbuj tylko pokazać pazury, to mnie popamiętasz! - zakończyła, efektownie ciskając słuchawkę.

Boże, on mnie zabije, pomyślała w nagłym przypiływie przerażenia. Ale czyż ta koszmarna kobieta zasłużyła na inne traktowanie? Później było jeszcze kilka rozmów. Amelia dawała z siebie wszystko, by uchodzić za wzór sekretarki. Wreszcie około dziewiątej wieczór telefony ustały. W pół godziny później wrócił Worth.

- I jak? - zapytała, sztywno podnosząc się zza biurka po kilkugodzinnym siedzeniu.

- Jest już przytomna i klnie jak szewc - powiedział. Zmęczony ruchem zdjął marynarkę i cisnął ją na krzesło. - Dali jej coś na uśmierzanie bólu. Więcej dowiem się jutro rano, kiedy doktor Simpson zobaczy angiogram. Westchnął i usiadł ciężko. Widać było, jak bardzo jest spięty i zmęczony.

- Amy, on podejrzewa zwapnienie aorty. Wspomniał o wprowadzeniu bypassów. Enzymy są w normie, co - jak twierdzi - oznacza, że nie było ataku serca. Jednak ma płytki oddech i arytmie. Jeśli nie ustąpią, może w końcu dojść do zawału.

- Wiem coś niecoś o takich operacjach - oznajmiła Amy. - Ryzyko jest małe i pacjenci na ogół po tygodniu wracają do domu.

- Tak też mówił doktor. Ale najgorsze jest to czekanie.

- Poczekamy razem, będzie ci różnie. - Uśmiechnęła się. - Mam przygotować coś do jedzenia?

- Nie wiem, czy zdołam cokolwiek przełknąć.

- W takim razie może najpierw solidną porcję whisky, a potem kawę?

- O, tak, chętnie.

Podszedł do biurka i zaczął przeglądać notatki z rozmów telefonicznych. Nagle zeszywniał i czujnie zerknął na Amelię.

- Kiedy ona dzwoniła?

- Pani Cade? - domyśliła się Amy. - Mniej więcej godzinę temu - dodała z drżeniem, odwracając wzrok.

- Czego chciała?

Amy niepewnie przestąpiła z nogi na nogę i sięgnęła do barku po butelkę.

- Właściwie nie wiem. Powiedziała tylko, że to pilne.

Wstał, nadal wpatrując się zaaferowanym wzrokiem w kartkę i automatycznie wziął szklankę.

- Była bardzo nieuprzejma, więc... nie pozostałam jej dłużna - brnęła dalej. - Jeśli jest twoją przyjaciółką, to bardzo mi przykro. - Kiedyś była nawet kimś więcej niż przyjaciółką - mruknął sadowiąc się za biurkiem. - Zaraz odpowiem na te telefony. A ty idź spać, Amy. Dobranoc.

Jasne, pomyślała z wściekłością. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść.

- Baxter prosił, żebyś zadzwonił do niego i powiedział, jak się czuje pani Carson - rzuciła wychodząc.

- Baxter może sobie poczekać - warknął niecierpliwie i sięgnął po słuchawkę. Nawet nie spojrzął na Amy, zajęty nakręcaniem numeru uroczej pani Cade.

Z trudem powstrzymała się od trzaśnięcia drzwiami.

Wróciła do pokoju gościnnego, wzięła szybki prysznic, przebrała się w prostą nocną koszulę i rozpuściła włosy. Gdy wściekłość opadła, poczuła lodowatą pustkę. Wyglądało na to, że niedługo straci posadę. Jeśli operacja dojdzie do skutku, Jeanette będzie potrzebowała pielęgniarki, a nie panienki do towarzystwa. Zaś Worth, który co prawda tolerował ją, a nawet pozwalał sobie na czułości, nie zmartwi się specjalnie jej odejściem. Wystarczająco często powtarzał, że nie chce się już angażować. Jaka musi być kobieta, którą zechciałby pokochać? Czyżby agresywna, ostra i bezduszna? Najwyraźniej taka była jego eks - narzeczona. Amy zaśmiała się gorzko. Jakie szanse może mieć ona, pierwsza naiwna, a do tego nieugięta dziewczyna? Może gdyby pobiegła teraz do niego w koszuli i próbowała go uwieść... Przez jedną szaloną chwilę rozważała tę możliwość, lecz szybko przyszło opamiętanie. Jak mogła myśleć o takich sprawach, kiedy jego ukochana babcia jest ciężko chora?! Biedna Jeanette... Zatęskniła nagle za łagodnym, mądrym uśmiechem starszej pani. Usiadła przed toaletką i w zamyśleniu zaczęła rozczesywać długie pasma włosów, kiedy drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wszedł Worth, ubrany do wyjścia. Ciemne oczy patrzyły ponuro ze zgnębionej, zmęczonej twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby nawet nie zauważył, że zastał Amy w nocnej koszuli.

- Muszę wyjść - oznajmił bez wstępów - Będziesz przyjmować telefony? Zawiadomiłem już szpital, pod jakim numerem będę osiągalny.

- Dobrze, zajmę się tym - obiecała chłodnym tonem, któremu przeczyło zatroskane

spojrzenie. Domyślała się, dokąd idzie. Czy ta kobieta musiała go dręczyć właśnie teraz, gdy miał tyle zmartwień?

Popatrzył na nią z nagłym zainteresowaniem, jakby dopiero w tej chwili zauważył uroczy negliż. W smutnych oczach rozbłyły iskierki. Uśmiechnął się, podziwiając kształtne linie smukłego ciała, rysujące się pod przezroczystym, cienkim materiałem w łagodnym blasku nocnej lampki. Ciemne, lśniące włosy spływały falą z pleców dziewczyny, nadając jej wygląd powabnej czarodziejki.

- Muszę przyznać, panno Glenn - mruknął w zamyśleniu - że spodziewałem się pani raczej w piżamie.

- I był pan bliski prawdy, panie Carson, gdyż do niedawna nie sypiałam w koszuli.

- Ale nie przeszkadzaj sobie. Chętnie popatrzę, jak robisz wieczorną toaletę. Z irytacją odłożyła szczotkę, czując na sobie palący wzrok mężczyzny.

- Już mówiłam, że nie daję prywatnych przedstawień. I bardzo proszę, przestań.

- Dlaczego? - zapytał zamykając drzwi i zbliżył się do niej.

Zerwała się z miejsca, lecz było to nierozważne. Jej piersi wychylały się zbyt prowokująco z głębokiego wycięcia koszuli. Worth postąpił jeszcze krok do przodu, aż znalazł się niebezpiecznie blisko. Za chwilę poczuła na ramionach dotyk dużych, ciepłych dłoni. Serce zabiło jej gwałtownie, a ciało przeszedł zdradziecki dreszcz podniecenia.

- Musisz już iść - wykrztusiła bez tchu.

- Wiem - odparł, zatapiając palce w pasma jedwabistych włosów. - Worth... Przymknął oczy i ciężko skłonił ku mej głowę.

- Nie bój się, Amy - szepnął. - Nic ci nie zrobię. Potrzebuję tylko chwili pocieszenia, wiesz? Czegoś, co pomoże mi przetrwać następne godziny.

Pieszczotliwie potarł nosem o jej nos. Już po chwili poczuła dłonie mężczyzny na ciele, zsuwające się ku piersiom, wielbiące ich krągłość.

- Dlaczego... dlaczego w takim razie idziesz do niej? - zapytała gorzko, przeklinając w duchu nieposłuszne ciało, poddające się dotknięciom Wortha.

Zesztywniał i uniósł głowę, uważnie studiując jej twarz.

- No, no - powiedział oschle - więc podejrzewasz, że chcę ukoić swój ból w łóżku kobiety, tak?

- A nie mam racji? - zaperzyła się. Zaśmiał się cicho, wyraźnie rozbawiony jej źle skrywaną zazdrością.

- Och, Amy Glenn, zawsze można na ciebie liczyć!

Otóż pragnę cię poinformować, że pani Cade już od dawna nie jest moją kochanką.

Jest natomiast dyrektorem u jednego z moich podwykonawców. Konkretnie tego, z którym mam realizować południowoamerykański projekt, o którym ci już mówiłem - wyjaśniał z satysfakcją, widząc jej niemądrą minę. - Ona jest odpowiedzialna za kontakty z tamtejszym rządem. Muszę jeszcze dziś omówić najpilniejsze sprawy z nią i z jej mężem - dodał. Amy zagryzła wargi i odwróciła wzrok.

- Zimno ci? Cała drżysz - zapytał nagle.

- Nie, skąd - zaprzeczyła odruchowo.

- W takim razie musisz być niesamowicie podniecona, kotku - wyszeptał drażniąc palcem napięty sutek.

Gwałtownie wciągnęła powietrze i szarpnęła się w tył.

- Spokojnie, od tego jeszcze nie zachodzi się w ciążę - zapewnił kpiąco, przytulając ją mocno do siebie.

Powoli rozwiązywał tasiemki jej koszuli, zachłannie wpatrując się w wycięcie, gdzie różowiły się delikatne piersi. Amy uniosła rękę, by wstydliwie je zasłonić, lecz Worth ujął jej dłoń, przycisnął do gorących ust, a potem położył sobie na piersi.

- Stój spokojnie, nic nie rób - poprosił łagodnym tonem, obnażając ją do pasa. Odstąpił krok do tyłu i wpatrywał się w nią zachłannie. Poczowała, że płoną jej policzki. Nigdy jeszcze mężczyzna nie oglądał jej nagości. - Gdybym nie musiał iść do Terrie - powiedział cicho i powoli - zaniósłbym cię na łóżko i tam całował każdy skrawek twojego ciała.

Amy zaciskała dłonie, trawiona gorączką, która ogarnęła jej zmysły z niepowstrzymaną siłą.

- Zwłaszcza tu - wycedził przez zaciśnięte wargi, chwytając ją w pasie i bez wysiłku unosząc do góry tak, że twarde, wyczekujące sutki znalazły się na wysokości jego ust. Łapczywie rozchylił wargi i zaczął je ssać, jeden po drugim, z taką namiętnością, że Amy jęknęła i nieprzytomnie wczepiła mu się palcami we włosy. Jej przyspieszony oddech zdawał się podniecać go do ostatecznych granic. Poczowała, że bierze ją w ramiona, rzuca na łóżko i... Nagle otrzeźwiło ją zimne dotknięcie pościeli i dziwna pustka wokół. Otworzyła oczy. Potężna sylwetka Wortha górowała nad nią w mroku, a światło lampki zaostrzało jego twarde rysy. Posępne spojrzenie ciemnych oczu badało każdy szczegół jej półnagięgo ciała.

- Taak - powiedział z wolna. - Bardzo to pociągające. Niewiele brakowało, a zdobyłabyś ogromnie interesujące życiowe doświadczenie. Ale niestety, Amy, nie specjalizuję się w niewyżytych dziewicach, choć muszę przyznać, że oferta jest bardzo trudna do odrzucenia. Uniosła się sztywno i trzęsąc się z oburzenia zaczęła zawiązywać tasiemki koszuli. Z trudem powstrzymywała łzy napływające jej do oczu. Bohatersko zdobyła się

nawet na uśmiech, choć nie śmiała podnieść głowy.

- Wybacz mi, proszę, te żalosalne próby uwodzenia - rzuciła z wymuszoną swobodą. - My, stare panny, mamy tak mało okazji, że musimy wykorzystywać każdą sposobność.

- Nie jesteś starą panną, Amy. Jesteś piękną, seksowną, gorącą kobietą - a ja straszliwie cię pragnę. Gdybym tylko mógł, wziąłbym cię natychmiast.

- Ale nie możesz, bo masz intratny kontrakt - uzupełniła.

Już otwierał usta, by coś odpowiedzieć, lecz tylko zaklął cicho, odwrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju, z hukiem zatrzaskując drzwi. Zasnęła dopiero nad ranem, kiedy usłyszała wracającego Wortha. Miała nadzieję, że położy się choć na parę godzin, a rano powita go dobra wiadomość, że angiogram jego ukochanej Jeanette nie wykazał zmian w sercu i operacja nie będzie konieczna. Nie miała do niego żalu. Rozumiała, jak bardzo bał się zaangażowania - a jednocześnie potrzebował pociechy w trudnych chwilach. Ostatnie wydarzenia zbliżyły ich do siebie i czuła, że oprócz pani Carson jest jedyną bliską mu osobą.

Do szpitala pojechali razem. Na wyniki badań musieli czekać aż do południa. Wreszcie lekarz oznajmił, że wprowadzenie bypassów jest konieczne i operacja musi się odbyć jak najszybciej; wyznaczono ją na następny dzień rano.

Worthowi pozwolono zobaczyć się z babcią. Kiedy wyszedł, miał nieprzytomne spojrzenie i bolesny grymas na twarzy. Amelia na próżno usiłowała go namówić, by wstąpili gdzieś na lunch. Uparł się, że zostanie w szpitalu, więc wróciła do domu i zajęła się porządkowaniem stosu poczty. Bardzo chciała zobaczyć się z Jeanette, lecz nie śmiała prosić, wyczuwając jego niechęć. Najwyraźniej obawiał się, że dodatkowe odwiedziny będą dla staruszki zbyt męczące. Amelia nie nalegała. Stan chorej był poważny; mogły to już być jej ostatnie chwile. Worth, jakby wiedziony przeczuciem, chciał wykorzystać każdy moment.

Amy zmusiła się, by skupić się na pracy. Pisała, załatwiała telefony i za wszelką cenę starała się nie dopuścić do siebie najgorszych myśli. Było bardzo późno, kiedy wreszcie wrócił ze szpitala. Służba już dawno wyszła. Amelia czekała z tacą pełną kanapek i gorącą kawą w ekspresie. Jednak Worth od razu po przyjściu zamknął się w swoim pokoju. Zdenerwowana krążyła po kuchni. Była zmęczona i marzyła o położeniu się do łóżka, lecz nie mogła zostawić go samego. Zbyt dobrze pamiętała straszne dni po śmierci własnej babci.

Wreszcie, ryzykując, że narazi się na wybuch wściekłości, ustawiła jedzenie na tacy, zapukała do pokoju Wortha i nie czekając na zaproszenie weszła.

Siedział nieruchomo na sofie z twarzą ukrytą w dłoniach. Na stoliczku obok stała szklanka i napoczęta butelka whisky.

- Czego tu, do diabła, szukasz?! - warknął unosząc głowę i mierząc ją wrogim

spojrzeniem, jak gdyby oskarżał Amy o własne nieszczęście.

- Nie wściekaj się, przyniosłam ci tylko kolację - odparła niezrażona. Poza gniewem zauważyła w jego spojrzeniu bezdenną rozpacz.

- Nie trzeba, nie jestem głodny. Zostaw mnie w spokoju - rzucił i nalał sobie solidną porcję alkoholu.

Amy odstawiła tacę i przysiadła u jego boku. Rozchełstana, wymięta koszula, przekrwione oczy i całodniowy zarost nadawały mu wygląd człowieka kompletnie przegranego.

- Przyszłam tu, żeby...

- Wiem, słyszałem, przyniosłaś kolację - burknął. Amy spokojnie nalała sobie kawy do filiżanki i pociągnęła głęboki łyk. - A niech cię licho, Amelio Glenn - zaśmiał się szorstko.

- Stare panny są uparte - pokiwała głową. - Ale jeśli tak bardzo sobie tego życzysz, zniknę ci z oczu.

- Nie, aż tak bardzo nie. - Szybko sięgnął po kanapkę i wgryzł się w nią z apetytem. - Proszę, moje ulubione, z kurczakiem. Świetnie wyczułaś. - Telepatia... - mruknęła. W rzeczywistości zdążyła już dobrze poznać jego gusty. Zjadł wszystko i sięgnął po kawę.

- Amy, co ja zrobię, kiedy ona umrze? - zapytał nagle. Ręka z filiżanką zastygła w pół drogi do ust.

- Jeanette tak łatwo się nie podda. Mówię ci, jeszcze będzie tańczyć. - Amy za wszelką cenę usiłowała nie zarazić się jego ponurym nastrojem.

- Ona, osoba, która ma w sobie tyle życia, miałaby się załamać z powodu byle operacji? Worth odwrócił się ku niej i długo badał spojrzeniem jej twarz.

- Jesteś wspaniała, Amy - szepnął. - Twój optymizm jest zaraźliwy. Potrafisz jak nikt inny współczuć i pocieszać. Pociągnął łyk kawy.

- Wiesz, babcia jest mi tak bliska, ale dopiero kiedy zachorowała, zdałem sobie sprawę, do jakiego stopnia mój świat kręci się wokół niej. Ona zna się na ludziach. Bardzo cię lubi. I ufa ci. Opowiadała ci o Connie, prawda? - zapytał niespodziewanie. Nie było sensu zaprzeczać. - Tak - odpowiedziała szczerze. - Wiem wszystko. Worth opuścił wzrok i zaczął uważnie oglądać sobie paznokcie.

- Próbowала ostrzec mnie, ale nie słuchałem. Oszalałem na punkcie tej piekielnej kobiety, tak mi się przynajmniej wydawało. Przez to babcia miała pierwszy atak. Do dziś dręczy mnie poczucie winy. Zaśmiał się gorzko.

- Wierz mi, od tamtej pory żyłem jak mnich, nie licząc jednej małej przygody. Lęk przed ponownym związaniem się z kimś jest zbyt silny.

- I z powodu tego jednego razu, kiedy nic uwierzyłeś Jeanette, masz zamiar wyznaczać sobie taką pokutę przez resztę życia? - zapytała łagodnie Amy. - Chyba twoja babcia najmniej by sobie tego życzyła.

- Och, spróbuj się postawić w mojej sytuacji, Amy, Nie wierzę już własnym odczuciom. Całkowicie straciłem zaufanie do kobiet.

- Rozumiem, Worth - powiedziała miękko, ogarniając czułym spojrzeniem jego potężne ramiona, dźwigające ciężar ponad siły. Nie kryła już swoich uczuć. - Tak bardzo chciałabym ci pomóc. Sama przeżywałam coś podobnego i wiem, że słowa niewiele znaczą.

- To bezsilne czekanie mnie wykończy. - Wzdrygnął się i jednym haustem opróżnił szklankę.

- Worth, alkohol ci go nie ułatwi - zaprotestowała nieśmiało. Wargi mężczyzny wykrzywił gorzki grymas.

- W takim razie pozostała tylko kobieta - odparł, zerkając na Amelię. - Tylko to jedno - to, co właśnie jest zakazane.

- Worth... - zaczęła z wahaniem.

- Ciicho... - położył jej uspokajająco palec na ustach. - Nie potrzebuję dziewiczej ofiary. - To nie jest ofiara - szepnęła, szukając spojrzeniem jego oczu. - Ja cię po prostu chcę. Na moment zaniemówił. - Wiem, żadna ze mnie piękność. Mam nieregularne rysy, jestem za chuda - wyrzucała z siebie pospiesznie. - Ale, do licha, mam już dwadzieścia osiem lat i zachowałam dziewictwo, bo ciągle czekałam na właściwego mężczyznę, na ten jedyny moment Wiem, że potem mnie odtrącisz, ale nie dbam o to. Dziś tak bardzo potrzebujesz kobiety i ja właśnie chciałabym nią być. Zawsze możesz mnie potraktować jako... lekarstwo - niemile, ale konieczne. - Zaśmiała się z nutką hysterii w głosie.

- Niemile lekarstwo! Amy Glenn, jesteś piękna i pragnę cię jak szaleniec. Ale... - zawahał się, drżącymi wargami całując jej włosy - jest pewne ryzyko.

- Nie ma żadnego ryzyka - skłamała, pragnąc za wszelką cenę przełamać jego opór. Powoli, z rozmysłem, namiętnie pocałowała go w usta. Ryzykowała udrekę odtrącenia, lecz nie mogła się już wycofać. Na tę chwilę czekała przez całe życie. Teraz właśnie mogła dać temu strapionemu mężczyźnie choć odrobinę pocieszenia i zapomnienia.

- Proszę, Worth - szepnęła z ustami na jego wargach.

Z gardłowym pomrukiem porwał ją w ramiona i zaczął całować - dziko, z pasją, szaleńczo. Czowała gwałtowny łomot jego serca, gdy niósł ją do swojej sypialni. W głowie wirowały jej fantastyczne, podniecające obrazy. Oto już za chwilę będzie leżała obok niego w ciemnościach; wreszcie poczuje dotyk nagiego, potężnego ciała i rzeźbionych mięśni, poczuje

jego dłonie na nagiej skórze... Drżąc wstrzymała oddech w oczekiwaniu.

Tymczasem Worth opuścił Amy delikatnie na łożo oświetlone łagodnym kręgiem światła nocnej lampki i przysiadł obok. Przez nieskończenie długą chwil wodził spojrzeniem po jej ciele, a potem wsunął dłoń pod bawełnianą bluzkę i pogładził płaski brzuch przeżący się pod jego dotknięciem.

- Podoba ci się to? - zapytał cicho, obserwując czujnie napiętą twarz dziewczyny. - Jesteś taka delikatna...

- A twoja ręka jest taka duża...

- Wszystko mam duże - zaśmiał się i zręcznym ruchem ściągnął jej bluzkę przez głowę, odsłaniając zapinany z przodu koronkowy stanik.

- Ten wspaniały wynalazek - stwierdził, muskając czubkami palców rowek między piersiami - uszczęśliwi każdego mężczyznę. Jednym ruchem, bez biadania gdzieś z tyłu, odsłoni cuda, które chce zobaczyć.

Jeszcze raz spojrzął jej w oczy, po czym delikatnie zwolnił napięcie i z namaszczaniem rozchylił stanik, uwalniając strome, jędrne piersi. Patrząc na sutki twardniejące pod jego spojrzeniem z takim wyrazem twarzy, że Amy wstrzymała oddech.

Wyciągnął rękę i zaczął pieścić je drażniącymi, kolistymi ruchami, aż jej ciało wyprężyło się, wstrząsane falami rozkosznych doznań.

- Kochanie, jestem trochę pijany - mruknął. - Nie mogę cię dalej...

- Nie! - jęknęła rozpaczliwie. - Nie przestawaj, proszę!

Oczy mu pociemniały. Dostrzegła w nich wyraźny błysk tłumionego pożądania. Kładąc rękę na jej brzuchu pochylił się, aż ujrzała jego wyczekujące wargi tuż przy swojej twarzy.

- Chyba nie będziesz milczącą kochanką, co, Amy - zapytał z uśmiechem. - Zaraz zobaczymy. Pocałował ją namiętnie. Gorące, wilgotne wargi, zęby i ruchliwy język wydobyły z niej jęk rozkoszy, narastający wraz z falą nieznośnego pragnienia. Kiedy już wiała się pod nim, jego usta i ręce rozpoczęły wędrówkę w dół, aż do brzucha. Niecierpliwym ruchem rozpiął jej dzinsy i błyskawicznie odrzucił je na bok wraz z majteczkami. Teraz już leżała przed nim naga, odruchowo rozkładając nogi w geście całkowitego oddania.

Tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden mężczyzna, poczuła usta Wortha. Doznanie było nowe i nieprawdopodobnie podniecające. Dysząc przeżyła się na skotłowanych prześcieradłach, a on czynił z jej ciałem cuda, o jakich czytała dotychczas tylko w książkach. Po mistrzowsku, jak wirtuoz, poruszał czułe struny, aż niepohamowane łzy zachwytu spływały spod zaciśniętych powiek Amy. Rozkosz i pragnienie narastały do granic

wytrzymałości. Konwulsyjnie zaciskała dłonie na poduszce, czując, że jeszcze chwila, a nie przeżyje tego huraganu pieszczot. Kiedy wreszcie podniósł głowę, by popatrzeć na nią, miała oczy na w pół przymknięte, zamglone łzami, nieprzytomne. Nabrzmiące usta były spierzchnięte i spękane, a plątanina zwichrzonych włosów jak ciemna chmura otaczała jej głowę. Worth wyprostował się i powoli zaczął zdejmować koszulę, obnażając szeroką, ciemno owłosioną pierś. Tak samo niespiesznie pozbywał się pozostałych części ubrania, pozwalając, by zafascynowany wzrok Amy chłonał każdy szczegół. Czuł niemal namacalnie pieszczotę jej spojrzenia. Z nie ukrywaną ciekawością i zachwytem patrzyła na potężne sploty mięśni, atletyczną pierś, płaski brzuch, wąskie biodra i muskularne uda. Tak go właśnie sobie wyobrażała, na podobieństwo antycznego posągu, na widok którego spłoniła się kiedyś w muzeum. Jednak ten wspaniały okaz męskości nie miał nic z chłodu marmuru. Przeciwnie, był pełen życia.

Kiedy położył się obok niej w pościeli, poczuła jego gorący dotyk.

Teraz Worth całował Amy czule, niespiesznie, delikatnie gładząc jej piersi, w ciszy przerywanej jedynie ich chrapliwymi oddechami i dzikim łomotem serc. Z wolna sunął dłońmi ku jej udom, napawając się gładkością kobiecej skóry. Ten pocałunek prowadził jej zmysły ku szczytom napięcia długą, wznoszącą się drogą. I znów trawiła ją nieznośna gorączka pożądania. Jego usta raz jeszcze poszukały napiętych sutków, by obdarzyć je pieszczotą. Już nie panowała nad sobą, każdy konwulsyjny ruch jej ciała podporządkowany był oczekiwaniu na spełnienie. Wreszcie Amy poczuła na sobie ciężar męczyzny, szorstki, ekscytujący dotyk owłosionego brzucha i piersi, siłę ud, rozwierających jej nogi - i zatopiła błędne spojrzenie w ciemnych, płonących oczach.

- Och, Worth, proszę... - wyjąkała bez tchu.

- Spokojnie, maleńka - szepnął, układając pod sobą drżące, chętne ciało. Wchodził w nią powoli, delikatnie, nie spuszczać wzroku z jej twarzy, by śledzić najmniejsze oznaki bólu.

Lecz niepotrzebnie się obawiał. Pasja, z jaką Amy pożałała tego momentu, zredukowała go do niedostrzegalnego skurczu, lekkiego drgnięcia powiek, przelotnego bólu, który rozpalil jeszcze szaloną, pierwotną gorączkę zmysłów. Wbiła mu paznokcie w ramiona.

- Chcę cię... Worth, Worth...! Uśmiechnął się triumfalnie. Wreszcie mógł kochać się z nią tak, jak pragnął. Ta kobieta podniecała go do szaleństwa. Nie do wiary, ale ta dziewczyna potrafiła przeżyć się jak dzika, drapieżna kotka, a w oczach nie miała lęku, jedynie czystą żądzę. Nie panował już nad sobą. Dążył do rozkoszy, tak jak i ona. Z cudowną łatwością dostosowała się do jego rytmu, a potem przekornie zmniejszała bądź przyspieszała tempo.

Zaśmiał się i podjął tę grę. Nigdy przedtem nie był do tego stopnia świadom własnej zaborczej, pierwotnej męskości. Gwałtownie złapał Amy za nadgarstki i przycisnął jej ręce za głowę. Teraz dla każdego z nich uczyła się tylko żądza. Z rozchylonych ust dziewczyny wydobywały się zdyszane okrzyki.

Worth nie zważając już na nic wdarł się w jej kobiecość potężnym zamachem, by po chwili, ogłuszony falami nieprawdopodobnej błogości, zapaść w miękka, cudowną ciemność. Usłyszał, że Amy płacze i otworzył oczy. Ciągle ścisnął jej przeguby. Nagle przeraził się, że zrobił krzywdę tej cudownej dziewczynie, która wybrała go na swojego pierwszego kochanka.

- Najdroższa... - wyszeptał miękko. Uniosła powieki. Zobaczył błękit, jaki może mieć tylko słoneczne niebo.

- Bardzo cię bolało? Staralem się uważać.

- Ależ skąd, to była tylko chwila, a potem...

- Odwróciła oczy i zarumieniła się. - Czy to normalne żebym tak czuła ciebie... pierwszy raz? Może dlatego, że tak długo czekałam?

- Amy, byłaś wspaniała, a ja miałem dużo czasu, by doprowadzić cię do szaleństwa, nim w ciebie wszedłem. Och, słodkie szaleństwo... - Pocałował ją czule. - A teraz usnij w moich ramionach. Kiedy odpoczniemy, znów będziemy się kochać. Kochać się, jak dziwnie brzmią te słowa w jego ustach, pomyślała sennie. Dla niego był to tylko czysty seks, zaspokojenie, może pocieszenie. Dla niej było wszystkim - nie tylko szalonym połączeniem ciał, także, a może przede wszystkim, związkiem dusz i najgłębszym porozumieniem. Czuła, że Worth spokojnie uklada się u jej boku i nagle usiadła, obrzucając wzrokiem skotłowane prześcieradła. - A mówiłaś, że nie mogłabyś robić tego przy świetle - przypomniał kpiąco.

- Nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje. Nie wyobrażałam sobie, że może tak być. A ty przez cały czas patrzyłeś na mnie... - zająknęła się. Policzki jej zapłonęły.

- Musiałem, Amy. Chcę patrzeć na kobietę, z którą się kocham. Poza tym chciałem wiedzieć, czy nie za bardzo cię boli. Obawiałem się, że mi nie powiesz.

- Och, żebyś wiedział, że zawsze się tego bałam i wyobrażałam sobie, jak może boleć. A kiedy już się stało, nawet nie zauważyłam, gdy było po wszystkim - zaśmiała się z ulgą.

- Wiem, czułem to. Boże, nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty - wyszeptał. Twarz spoważniała mu nagle. - Nie poznawałem samego siebie, wierz mi. Robiłem z tobą rzeczy, które dotąd nie przyszły mi do głowy. A ty się śmiałaś, miałaś szalone oczy i wyczuwałaś każdy mój ruch, jakbyśmy kochali się od lat. Ty, która powinnaś zaciskać zęby z bólu, żeby spełnić do końca niemily obowiązek! Nigdy nie zapomnę tej nocy, kiedy dziewczyna opętała

mnie do szaleństwa.

- Bardzo się cieszę. Ja również nie zapomnę.

- I nie żałujesz?

- Nie - oświadczyła z absolutnym przekonaniem.

- Och, Amy, jeśli jestem jeszcze pijany, nie chciałbym trzeźwieć - westchnął, na nowo odkrywając jedwabistą gładkość jej skóry. Na próżno próbował uspokoić oddech i oderwać ręce od jej ciała.

Oczy Amy rozbłysły. Teraz już wiedziała, czego pragnie. Uniosła się i wsunęła na niego.

- Chcę, żebyś mnie uczył, Worth - wyszeptała zniżając głowę do pocałunku.

Ranek nadszedł zbyt szybko i zbyt nagle. Kiedy Amelia otworzyła oczy, momentalnie wyczuła zmianę. Ciało miała sztywne, a na wpół jeszcze senne myśli przenikał podświadomy niepokój. Odwróciła się i rozejrzała, lecz na sąsiedniej poduszce widniał jedynie odcisnięty ślad głowy. Worth zniknął! Worth? Nerwowo wciągnęła oddech i usiadła wyprostowana na łóżku. Prześcieradła osunęły się i nagle zobaczyła na swoim ciele i pościeli znaki, które przywróciły jej pamięć. Kochała się z nim! I nie tylko raz. Zaczerwieniła się gwałtownie i z zakłopotaniem przygryzła wargę - Co teraz? Wszystko się zmieniło i nigdy już nie będzie tak jak dawniej... Zerknęła na zegarek i z przerażeniem stwierdziła, że jest już dziesiąta. Operacja zapewne trwa od paru godzin. Błyskawicznie wyskoczyła z łóżka, pozbierała rozrzucone rzeczy i ostrożnie wyjrzawszy na korytarz, prześlizgnęła się do swojego pokoju.

W kilkanaście minut później, stukając wysokimi obcasami, biegła już do garażu ubrana w prostą białą sukienkę, a włosy, które zdążyła tylko rozczesać, rozsypywały się na plecach lśniąca falą. Nie mogło być mowy o zjedzeniu śniadania; nie pozwoliła sobie nawet na kawę. Przez głowę przelatywały jej gorączkowe myśli. Modliła się w duchu, żeby nie spotkać nikogo ze służby. Przecież musieli się domyślać, gdzie spała. Jeszcze większe przerażenie ogarniało ją na myśl o zobaczeniu Wortha. Albo jego babci - o ile Jeanette jeszcze żyje... Nie, ona musi żyć. Musi! Chociażby dla dobra Wortha. Właśnie, czy teraz żałował już tej nocy? Miała nadzieję, że nie. A zresztą, cokolwiek się zdarzy, na zawsze pozostanie jej piękne wspomnienie...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Worth, kopiąc papierosy jak komin, tkwił samotnie na korytarzu pod salą operacyjną. Teraz, gdy Amy patrzyła na niego oczami zakochanej kobiety, wydał się jej przystojniejszy, zwłaszcza że wiedziała już, jak wspaniałe męskie zalety skrywa modna śliwkowa koszula i doskonale skrojony garnitur. Na samo wspomnienie upojnej nocy oblała się rumieńcem. Uniósł głowę i spojrzał na nią. Podświadomie oczekiwała uśmiechu czy też gestu świadczącego o intymnym porozumieniu. Niestety, kobieca intuicja tym razem ją zawiodła. W jego wzroku dostrzegła wyłącznie zakłopotanie i smutek. Powoli podeszła do niego, próbując nie dać poznać po sobie zawodu, i usiadła obok, wstydliwie obciągając wąską białą spódniczkę, która nagle wydała się jej zupełnie niestosowna.

- Masz już jakieś wiadomości? - zapytała zatroskanym tonem.

Potrząsnęła głową, łapczywie zaciągając się papierosem.

- Operacja jest długa i poważna, Amy. Potrwa kilka godzin - odrzekł, mierząc ją uważnym spojrzeniem.

- Zjawiłem się tu w samą porę, żeby zobaczyć Jeanette wiezioną na salę operacyjną. Była całkiem przytomna, trzeźwa i zdecydowana schwycić byka za rogi. Zdażyła jeszcze powiedzieć, żebyś nie szukała innej pracy, bo ma zamiar jeszcze pożyć i nadal cię zatrudniać. Amy zaczęła śmiać się przez łzy. Doprawdy, panią Carson trudno by już było nazwać tylko chlebodawczynią. Opuściła wzrok, kurczowo splatając palce.

Worth chyba również nie czuł się najlepiej.

- Amy, chyba powinienem cię przeprosić - powiedział z zakłopotaniem.

- Sama chciałam. Przecież kiedyś musiał być pierwszy raz, prawda? - zapytała z wymuszoną beztroską. - W końcu ma się te dwadzieścia osiem lat. I... być może będzie to mój pierwszy i ostatni raz. Nawet nie przypuszczałam, że można się tak czuć z mężczyzną.

Poszukała jego wzroku, gdyż czuła, iż losy tej nocy zaważą na całym jej życiu. Jednak Worth zdawał się w to nie wierzyć. Sceptyczny grymas nie zniknął z jego twarzy.

- Było, minęło - stwierdziła w końcu z pozornym spokojem, zakładając nogę na nogę.

- Żale nic nie pomogą.

Nie dostrzegła bolesnego skurczu, jakim zareagował na jej słowa. Wpatrzyła się tępo w perspektywę smutnego szpitalnego korytarza. Miała już dosyć myślenia o tym mężczyźnie. Czerwony, płonący napis nad drzwiami sali operacyjnej przypomniał jej nagle, gdzie jest. Westchnęła ciężko. Operacja należała do pospolitych, ale Jeanette miała swoje lata. Gdyby nawet zabieg się powiódł, wszystko nadal pozostawało loterią. Zerknęła z niepokojem na

Wortha i zacisnęła palce wokół jego dłoni. Znow palil, a w popielniczce piętrzył się stos niedopałków. Nie podejrzewała, że będzie aż tak to przeżywał. Zdawało się, iż nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi tego twardego mężczyzny - widać jednak ukochana babcia stanowiła jego przysłowiową piętę achillesową. Amy wzdrygnęła się na samą myśl, co by się stało, gdyby staruszka umarła.

Minęły dwie dręcząco długie godziny, aż wreszcie pojawił się uśmiechnięty asystent.

- Pan Carson? - upewnił się, widząc podrywającego się Wortha. - Miło mi powiadomić pana, że pańska babcia wspaniale zniosła operację. Już odłączyliśmy ją od respiratora. Świetnie sobie radzi z oddychaniem. Niedługo zostanie przewieziona do sali pooperacyjnej. Będzie ją pan mógł zobaczyć.

Worth zaśmiał się z wyraźną ulgą.

- Boże, a ja tu o mało nie osiwiiałem!

- Najgorsze już za nami - oznajmił uspokajająco młody człowiek.

Głośne westchnienie wyrwało się z piersi Wortha. Amy popatrzyła na niego przez łyzy.

- Widzisz, mówiłam, że ona jest twarda jak stare żołnierskie buty - zawołała, serdecznie ściskając jego rękę.

- Fakt, zaczynam w to wierzyć. Po kilku minutach poderwali się widząc, jak z drzwi sali wyjeżdża wózek z podczepioną kroplówką. Drobną postać leżącą na nim wydawała się bielsza od okrywających ją prześcieradeł, lecz niewątpliwie żywa. Lekarz skinął na Wortha i długo tłumaczył mu szczegóły zabiegu i dalszej terapii. Na pożegnanie panowie serdecznie uścisnęli sobie ręce.

- Doktor mówi, że po upływie siedemdziesięciu dwóch godzin będziemy mieli ostateczną pewność co do wyniku operacji, ale to tylko formalność. Wszystko poszło dobrze, reakcje były w normie. Gdyby nie wiek, nie miałby żadnych wątpliwości, ale i tak jest optymistą - oznajmił Worth, biorąc Amelię za ramię i kierując się ku wyjściu.

- Słowem, teraz będzie już mogła grać w tenisa - zażartowała ostrożnie. - Kiedyś zwierzyła mi się, że chciałaby spróbować, choć ma poczucie, że jest nieco za późno.

- Boże, tylko nie próbuj namawiać jej na to!

- Dlaczego? Sama kupię jej rakietę w prezencie.

- Dobrze, ale na razie mam lepszą propozycję - może byśmy poszli coś przekąsić? Marzę o jakimś hot dogu.

- Popieram.

Jeśli jednak miała nadzieję, że jeszcze raz przeżyje w rozmowie tamtą upojną noc, gorzko się zawiodła. Worth poruszał wszystkie możliwe tematy oprócz tego jednego,

upragnionego. Mówił o polityce i problemach codziennego życia, nie oszczędził jej nawet szczegółów swojego południowoamerykańskiego kontraktu. Najwidoczniej starał się za wszelką cenę uniknąć osobistych rozmów. Amelia miała bolesne poczucie, że ich zbliżenie stanowiło dla niego jedynie kłopotliwy problem. Wyczuwała, że Worth lęka się jej zaangażowania, toteż chciała mu udowodnić, że obawy są bezpodstawne. Dlatego śmiała się, paplała i udawała dobry humor, robiąc dobrą minę do złej gry, choć tak naprawdę miała ochotę płakać. Kiedy Jeanette przeniesiono do izolatki, gdzie pozostawała podłączona do aparatury kontrolnej, pozwolono im wejść do niej na chwilę. Wrażenie było szokujące - kruche ciało staruszki zdawało się stanowić zbędny dodatek do plątaniny kabli i rzędu monitorów, zagrających mały pokój. Cały korytarz wypełniały podobne klatki, gdzie kołatały się okrucy ludzkiego życia, troskliwie chronione przez zastępy pielęgniarek i lekarzy, zaaferowanych niezliczonymi testami i badaniami.

Worth pochylił się nad łóżkiem, ujął wiotką, poznaczoną żyłami rękę swej babki i z drżeniem spojrzał w jej twarz, zakrytą maską tlenową.

- Jesteś fantastyczna, moja staruszko - szepnął przez łyżę. - Tak trzymaj, tylko tak trzymaj, słyszysz? Nie było odpowiedzi, lecz Amy czuła, że prośba została wysłuchana. Opuścili szpital dopiero po zmroku, kiedy do Wortha dotarło wreszcie, że nie ma już nic do roboty w poczekalni. Równie dobrze mógł czekać dalej w domu, przy telefonie. Łaskawie przyjął przyrządzone mu przez Amelię kanapki i udał się do gabinetu.

- Mam trochę roboty - oznajmił spokojnie i spojrzawszy jej w oczy, dodał: - Zapewniam cię, że nie musisz się bać i zamykać swojego pokoju na klucz.

- Nie miałam zamiaru - odparła szorstko. - Tamtej nocy zawarliśmy układ. Ty potrzebowałeś kogoś i ja też. Jesteśmy kwita.

- Dobrze, skoro tak mówisz. Ale chce, żebyś wiedziała, jak cenię sobie twój dar, który pomógł mi przetrwać najgorsze chwile. Dzisiaj wezmę sobie do towarzystwa whisky. Tak będzie bezpieczniej - stwierdził wyciągając papierosa. Amy miała ochotę dać mu w twarz. Zrobiłaby to, gdyby nie dramat, jaki przeżywał w związku z chorobą Jeanette. Z trudem zmusiła się do normalnego tonu.

- Okay, idę spać. Obudź mnie, gdybyś dostał jakąś wiadomość ze szpitala, dobrze? - poprosiła, przejęta wspomnieniem bladej, cierpiącej twarzy pani Carson.

- Oczywiście. Dobranoc, Amy.

- Dobranoc.

W pokoju szybko przebrała się w nocną koszulę i z ulgą wsunęła do łóżka. Gdy gasiła światło, przed oczami jeszcze raz przesunęły się jej sceny ich szalonej nocy. Tak, Worth

dobrze to określił: miłość jest jak zajadanie się chipsami - kiedy się zacznie, nie można przestać, dopóki nie pochłonie się całej torebki, pomyślała sennie.

Następnego ranka Worth miał sam jechać do szpitala, by czuwać pod pokojem babki w nadziei na widzenie.

- Możesz już wracać do siebie - oznajmił Amy przy śniadaniu.

- Słusznie, bo, nie daj Boże, ludzie mogliby zacząć plotkować - zakpiła.

- Nie chodzi mi o moją reputację. Chodzi o ciebie. Za dużo z siebie dajesz, Amy, za bardzo się poświęcasz. Wreszcie wpędzisz się w kłopoty.

- Ciekawe, po raz pierwszy postawiono mi taki zarzut. - Zaśmiała się sztucznie, udając, że zajmuje ją mieszanie kawy w filiżance.

- Pamiętasz, jak mnie zapewniałaś, że nie grozi ci zajście w ciążę? Czy to prawda? - zapytał nagle, patrząc na nią uważnie.

- Oczywiście - skłamała gładko. Nie mogła przyznać się, z jakim przerażeniem o tym myśli. Wówczas, upojona bliskością Wortha, świadomie podjęła ryzyko. Teraz dręczył ją lęk i poczucie winy. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić.

- Jeśli babcia poczuje się lepiej i wyjdzie ze szpitala, czy... zostaniesz, by się nią opiekować? - spytał po chwili wahania.

- Nie jestem pielęgniarką - odparła równie niepewnie.

- Wiem, ale przecież pracowałaś w szpitalu. Poza tym ona bardzo cię lubi.

- Worth, daj mi czas do namysłu.

- Tak, jasne. - Zerknął na zegarek. - Muszę już iść. Do zobaczenia.

- Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze - powiedziała łagodnie.

- Ja też mam nadzieję. - Westchnął i ruszył ku drzwiom. Wyszedł bez słowa, nie oglądając się już.

Amelia zabrała rzeczy i wróciła do siebie. Codziennie jednak bywała w szpitalu, zastępując tam Wortha, kiedy pilne sprawy wzywały go do firmy. Po dwóch dniach Jeanette poczuła się lepiej na tyle, że już siadała na łóżku. Na trzeci dzień lekarze uznali, że może przenieść się do normalnego pokoju.

- Jesteś ulepiona z twardej gliny, Jeanette - powiedziała z podziwem Amy, podtrzymując ją troskliwie, by mogła napić się odrobinę soku pomarańczowego. Właśnie zmieniła Wortha, który pojechał do biura.

- Przecież mówiłam ci, kochana, że jestem twarda jak stare żołnierskie buty. - Jeanette zaśmiała się z satysfakcją, lecz szybko chwyciła się za pierś. Jedyнным śladem po operacji pozostała cienka blizna, gdyż nie zastosowano szwów. Na razie okrywał ją szeroki,

przezroczysty plaster. Jednak rozcięte żebra sprawiały ból. Lekarz twierdził, że będą zrastać się przez co najmniej sześć tygodni. I choć w piątek Jeanette miała wrócić do domu, zapowiadało się, że długo jeszcze nie będzie w stanie chodzić.

- Amy, co ja bym bez ciebie zrobiła! – wykrzyknęła impulsywnie starsza pani, serdecznie ściskając jej rękę.

Amelia z wysiłkiem próbowała przywołać na twarz uśmiech. Znajdowała się w patowej sytuacji. Utrzymywanie dystansu wobec Wortha po tamtej miłosnej nocy stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Najchętniej uciekłyby z tego domu. Jak jednak mogłaby opuścić Jeanette?

- Czy Worth bardzo się mną przejął? - zapytała pani Carson z troską.

- O, tak. Muszę ci powiedzieć, że uważałam go za twardego faceta, ale twoja choroba dosłownie go załamała. Przeraził się, że cię straci. Zresztą wszyscy się ' martwili, a już zwłaszcza Barter.

Każdego wieczoru czekał na wieści ze szpitala. Dom funkcjonował głównie dzięki nieocenionej Carolyn. Teraz wszyscy czekamy na twój powrót. Pani Reed otrzymała już ściśle instrukcje, żeby skreślić z twojego jadłospisu tłuste i smażone potrawy. I nie ugnie się, choćbyś nie wiem jak o nie błagała - zaznaczyła z naciskiem. Pani Carson skrzywiła się komicznie, jak zły buldog.

- To jakiś podstępny spisek!

- Nie spisek, tylko życiowa konieczność. Zalecenie lekarzy. Chyba chciałabyś jeszcze trochę pożyć, prawda?

- Owszem, jeśli będę mogła potrenować sobie break dance albo spróbować gry w tenisa. W przeciwnym przypadku zanudzę się na śmierć.

- Obiecuję, że osobiście kupię ci rakietę.

- Porządna z ciebie dziewczyna! - rozpromieniła się Jeanette.

Amelia zaśmiała się w duchu. Może kiedyś miała zadatki na „porządną” dziewczynę, ale teraz... Teraz mogła myśleć o sobie jedynie jako o kochance Wortha, wziętej na pocieszenie na jedną noc. Właściwie co w tym dziwnego? Nie ukrywał, że nie chce się z nikim wiązać. Po co miałby komplikować sobie życie z powodu prowincjonalnej gąski z Georgii, której jedynym majątkiem jest stary żółty ford. Sama mu się napraszałaś, kochana, więc nie narzekaj, pomyślała gorzko.

Nie była mu już potrzebna. Dostał, co chciał, i więcej nie pragnął. Jakże się myliła sądząc, że tamtej nocy dzielił z nią choć w części uczucia, jakie przeżywała. Naiwna dziewczica, która nie wie, że dla mężczyzny liczy się tylko zaspokojenie popędu! Przeklinała

swoje miękkie serce i skandaliczny brak rozwagi. Jak mogła dopuścić, by kochali się bez żadnego zabezpieczenia? A co będzie, jeśli zaszła w ciążę? Serce ścisnął jej nagły lęk. Spokojnie, to może zdarzyć się tylko w dniach płodnych, usiłowała sobie wyperswadować, lecz w tym samym momencie z przerażeniem uświadomiła sobie, że właśnie wtedy wypadają. Przymknęła oczy, szepcząc bezgłośnie modlitwę: „Boże, zlituj się nade mną i nie pozwól, by przez moją głupotę ucierpieli ci, których kocham...” Rodzice nie znieśliby takiej wiadomości. W małym miasteczku, gdzie wszyscy wszystko wiedzą, zostaliby natychmiast napiętnowani. Jeśli z kolei zostanie w Chicago, jak zdoła wychować dziecko, skoro sama z trudnością zarabia na własne utrzymanie? Nie wyobrażała sobie również, że mogłaby zajmować się Jeanette mając świadomość, że nosi dziecko Wortha. Z determinacją zacisnęła usta. Nie, nie ma sensu się zadręczać czymś, co być może się nie zdarzy. Kto powiedział, że po jednej nocy z mężczyzną musi zaraz zajść w ciążę? A może jest bezpłodna...

Bojowym ruchem Amy odrzuciła w tył falę ciemnych włosów i, przywoławszy na twarz uśmiech fachowej pielęgniarki, zapytała panią Carson, czy ma jeszcze ochotę na sok. Dobrze, że chociaż kochana staruszka czuje się coraz lepiej. Był to jedyny jasny punkt w jej ponurym teraz i smutnym świecie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Amelia codziennie pełniła dyżury przy Jeanette Worth wpadał do szpitala w każdej wolnej chwili, lecz realizacja dwóch pilnych projektów zabierała mu coraz więcej czasu. Rzadko, kiedy spotykali się w szpitalnym pokoju, całą uwagę skupiał na ukochanej babci, przemawiając do niej czule. Do Amy odzywał się zdawkowo, zachowując sztywną rezerwę.

W piątek przyjechał rolls - royce'em by zabrać Jeanette do domu. Odprowadzające ich pielęgniarki, zachwycone, otoczyły wianuszkami lśniąca maszynę.

Starsza pani, mile polechtana takim zainteresowaniem, nie pozwoliła odjechać, dopóki każda z nich nie nacieszyła się przez moment siedzeniem na obitym luksusową skórą siedzeniu i podziwianiem wnętrza z wbudowanym barkiem, aparaturą stereo, telewizorem oraz telefonem. W domu stało już sprowadzone przez Wortha specjalne, konieczne dla rekonwalescentki, szpitalne łóżko. Wszędzie pyszniły się kosz kwiatów, które wywołały zachwyty Jeanette. Obejrzała je wszystkie po kolei. Amelia skorzystała z okazji i wyszła za Worthem na taras. Powietrze przenikała już nieuchwytna atmosfera wczesnej jesieni - tej cudownej, leniwej, ciepłej pory babiego lata, nasyconej zapachami kwiatów i owoców. Z rozkoszą przymknęła oczy w łagodnym blasku słońca, wracając wspomnieniem do czasu, kiedy rozmawiali jak para starych przyjaciół, a potem tak namiętnie kochali się w tę jedną, niezapomnianą noc. Dyskretnie zerknęła na Wortha, bojąc się, by nic dostrzegł w jej oczach smutku i tęsknoty.

Stał z rękami wepchniętymi w kieszenie marynarki, jak zwykle górując nad otoczeniem swoją masywną postacią. Pasma ciemnych włosów opadające na szerokie czoło nie zdołało przesłonić przenikliwego spojrzenia, jakim wpatrywał się w Amy - drobną kobiecą figurę w prostej, szarej sukience, z długimi włosami rozwiewanymi przez łagodne podmuchy wiatru.

- Nie będzie mnie w kraju przez kilka miesięcy - oznajmił poważnym tonem. - Nasz projekt w Kolumbii jest zbyt ważny, bym mógł powierzyć sfinalizowanie go komuś z zastępców. Muszę lecieć do Bogoty i dopilnować spraw osobiście. W pierwszym momencie Amelia poczuła rozpaczę. Przecież funkcjonowała dotychczas w miarę sprawnie tylko dlatego, że mogła go codziennie widywać. Z drugiej strony, tak może będzie lepiej... Trzeba wreszcie wziąć się w garść, postanowiła.

- Kiedy odlatujesz? - spytała rzeczowo.

- Prawdopodobnie w poniedziałek rano. Proponuję, abyś znów zamieszkała w pokoju gościnnym. Rozumiesz, Jeanette może cię potrzebować również w nocy.

- Tak, wiem.

Władczym gestem uniósł jej podbródek, by spojrzeć w zasmucone oczy.

- Nadal się dręczysz? Panienkę z prowincji o tak purytańskich zasadach powinienem tamtej nocy odesłać do łóżka i zadowolić się whisky. Niestety, nie byłem zbyt trzeźwy, a do tego oszalały z rozpaczy. Bardzo mnie teraz nienawidzisz? - zapytał z błyskiem w oku.

- Przecież do niczego mnie nie zmuszałeś. Wiedziałaś, jak bardzo potrzebujesz pocieszenia.

- Znalazła się litościwa dusza - zaśmiał się kpiąco.

- Dziewczyno, twoje miękkie serce sprowadzi cię któregoś dnia na manowce. Boże, ten facet myśli, że umartwiała się, idąc z nim do łóżka! Ale jak ma wyprowadzić go z błędu? Przecież nie przyzna się, że po prostu się zakochała. Znając jego niechęć do bliższych związków sądziła, że natychmiast by ją zwolnił.

- Pociesz się, że miałam też własne, egoistyczne powody - zapewniła, próbując choć częściowo wyznać prawdę.

Spojrzał jej głęboko w oczy. Miała wrażenie, że wstrzymał oddech.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo... - urwał nagle.

Przybierając urzędową minę znacząco zerknął na zegarek. - Znów jestem spóźniony - westchnął. - Zadbaj o babcię. Spróbuję wrócić na kolację.

Nic nie odpowiedziała. Zawahał się, jakby jeszcze na coś czekał, a potem wzruszył ramionami i szybko poszedł do samochodu.

Wieczorem Amy powiedziała Jeanette, że zostawia ją na chwilę, by pojechać do domu po swoje rzeczy. Smętnie powlokła się do garażu, zastanawiając się, czy stary ford raczy zapalić.

Nagle drgnęła zaskoczona. Wozu nie było na zwykłym miejscu.

Zamiast niego zobaczyła małe, błękitne japońskie чудо, lśniące nowością, przewiązane kokardą na dachu jak bombonierka. Do wstążki doczepiona była karteczka.

Amy, tylko się nie obraż. Po prostu zapomnij o swoim starym fordzie, wsiadaj i jedź. Możesz to potraktować jako wyraz wdzięczności za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. - Worth - przeczytała i ogarnęła ją wściekłość z powodu tego wielkopańskiego gestu.

Ponadto przez lata zdążyła się przywiązać do pocziwego złotego forda - staruszka. Niestety, na razie nie miała wyjścia. Z westchnieniem otworzyła drzwiczki. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Wyjechała na ulicę, zapominając o kokardzie na dachu.

Po powrocie nie mogła się doczekać na Wortha, by zrobić mu awanturę. Pani Carson

zjadła kolację i zasnęła, zmęczona przeżyciami, U wezłowania łóżka zamontowano specjalny dzwonek, by mogła w razie potrzeby zaalarmować domowników. Amy siedziała przy stole w jadalni, bez przekonania dziobiąc widelcem sałatkę z pomidorów. - To ma być kolacja? - zagrzmiął od progu znajomy głos. Worth wszedł do kuchni, cisnął marynarkę na krzesło i krytycznie spojrzął na jej talerz.

- Tak. A teraz oddaj mi samochód - warknęła. Uniósł gęste brwi.

- Po co? On już jest tylko zgrabną kosteczką z metalu.

Wiesz chyba, co potrafią zgniatarki na złomowisku?

- Nie będę przyjmować od ciebie drogich prezentów. Nie musisz płacić mi za tę jedną noc! - rzuciła mu w twarz. Błękitne oczy zalśniły jak sztylety.

Wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Boleśnie zmrużył oczy, jak gdyby wściekła uwaga Amy zadała mu cios prosto w serce.

- Naprawdę nie miałem tego na myśli – powiedział z niespodziewaną łagodnością, wpatrując się w nią poważnie, niemal błagalnie. - Klnę się na Boga, Amy. - Uwierz mi.

Zmieszana opuściła wzrok. Cała złość ulotniła się nagle.

- Doceniam twoje dobre intencje, Worth, ale nie potrzebuję pomocy - odezwała się po długiej chwili.

- Przecież kiedyś byś się zabiła w tym rozklekotanym wraku! - wybuchnął. - Każdy mechanik powiedziałby ci, że on nie nadaje się już do jazdy. A gdybyś się zabiła, kto zająłby się babcią?

Ach, więc tu cię boli... - pomyślała zjadliwie.

Faktycznie, jaki byłby pożytek z martwego pracownika? Od razu powinna się była domyślić, że nie chodzi o jej dobro.

- Zgoda, będę używać tego wozu, ale tylko w związku z pracą dla pani Carson - oświadczyła oschle.

- Natomiast w żadnym przypadku nie mogę go przyjąć.

- Jesteś piekielnie uparta - syknął, ścisząc głos na widok Baxtera, niosącego tacę z ogromnym stekiem, pieczonymi ziemniakami i sałatką. Jedli swoje porcje w milczeniu. Gdy skończyli, podano kawę. - I co, nie zmienisz zdania na temat samochodu?

- odezwał się wreszcie Worth.

- Nie zmienię.

- Amy, chciałem tylko odwdziżyć się za wszystko, co zrobiłaś. - I uspokoiłeś swoje sumienie kupując mi samochód - podsumowała bezlitośnie. - A swoją drogą, interesuje mnie, czy podobnie odwdzięczałeś się innym kobietom za taką usługę? - zapytała z niewinnym

uśmiezkciem, który jednak momentalnie zastygł jej na wargach. Worth gwałtownym ruchem cisnął o ścianę swoją pustą filiżankę. Krucha chińska porcelana rozprysnęła się w kawałki. Amy drgnęła przerażona, a potem osłupiała patrzyła, jak twarz mężczyzny przybiera kamienny, nienawistny wyraz. Bez słowa odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W następnej chwili w drzwiach pojawił się zaniepokojony hałasem Baxter i załamał ręce na widok rozbitego cacka. Amelia siedziała ze ściśniętym gardłem, tłumiąc wzbierający szloch.

Stary kamerdyner był zbyt dyskretny, by zadawać pytania, ale usiłował dodać jej otuchy spojrzeniem, unosząc głowę znad pracowicie zbieranych z podłogi okruchów. Drżącymi rękami uniosła filiżankę do ust, parząc się kawą. Wreszcie uspokoiła się na tyle, że zdołała wstać. Gdy doszła do swojego pokoju, rzuciła się na łóżko i na dobre dała upust łzom. Wyplakiwała z siebie wszystko: napięcie ostatnich tygodni i żal po jedynej miłości, którą odnalazła tylko po to, by ją stracić. Płakała ze złości nad swoją głupotą i jej konsekwencjami, które mogły zrujnować całe jej życie. Płakała, ponieważ zraniono ją boleśnie i głęboko. Tam, w kuchni, Worth popatrzył na nią z nie ukrywaną nienawiścią!

Następne dni zdawały się potwierdzać ponure przypuszczenia Amy. Sobota i niedziela były dla niej torturą. Worth przebywał w domu, lecz traktował ją z okrutną obojętnością. Za wszelką cenę starała się go unikać, a jednocześnie ukryć przed Jeanette katastrofalny stan swoich nerwów. Twardo postanowiła jednak, że zniesie wszystko. Powtarzała sobie bez przerwy, że musi pogodzić się z sytuacją. On już jej nie pragnął, była więc dla niego tylko chodzącym wyrzutem sumienia. Gdy w poniedziałek rano oznajmił, że wyjeżdża, Amy ogarnęło dziwne uczucie ulgi i rozpacz zarazem.

Kiedy przyszedł pożegnać się z babką, Amelia, nie zważając na jego piorunujące spojrzenie, nie ruszyła się z miejsca u wezglowia łóżka. Miała ostatnią okazję, by na niego popatrzeć. Chciała zachować w pamięci obraz imponującej postaci w eleganckim tropikalnym garniturze. - W razie potrzeby kontaktujcie się z hotelem Sheraton w Bogocie - oświadczył. - Będę informował recepcję, gdzie można mnie znaleźć.

Amy w milczeniu skinęła głową, nie mogąc wydobyć głosu. Boże, żeby tylko się nie rozpłakać i nie dać mu poznać, jak bardzo mnie rani, zaklinała się w duchu. Zacisnęła kurczowo dłonie, by nie zauważył, jak drżą. Wreszcie zdołała zmusić się do uśmiechu.

- Przyjemnej podróży - powiedziała. Poszukał spojrzeniem jej oczu. Sprawiał wrażenie spokojnego i dziwnie nieobecnego. Otwarcie zlustrował jej postać, nie pomijając żadnego szczegółu. Na ułamek sekundy zatrzymał wzrok na ustach.

- Dbaj o babcię, Amy - poprosił. - I o siebie - dodał zmienionym tonem.

- Ty też - odparła swobodnie. - W dżungli są drapieżniki, również dwunożne. Miej się na baczności.

- I nie wchodź w drogę przemytnikom narkotyków - dorzuciła Jeanette, z troską patrząc na wnuka. - Te kolumbijskie mafie są szczególnie niebezpieczne.

- Będę uważał - zapewnił, nadal nie spuszczać uważnego spojrzenia z bladej twarzy Amy. - Odprowadź mnie, dobrze?

- Och, jeśli nie sprawia ci to różnicy, wolałabym, żebyśmy pożegnali się tutaj - powiedziała nieszczerze.

- Nie, proszę cię, chodź - nalegał. Amy podniosła się z miejsca, zerkając przepraszająco na Jeanette, która podejrzliwie przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Worth jeszcze raz pożegnał babcię i zamknął drzwi. Wyszli na taras.

- O co ci chodzi? - zapytała opryskliwie. W jednej ręce trzymał dyplomatkę, lecz drugą uniósł podbródek Amy, zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy. Znow górował nad nią. Czuła na twarzy jego oddech, chłonęła delikatny zapach wody kolońskiej. Nienawidziła go w tej chwili za ten zamęt w jej myślach, który wywołała jego bliskość i za zdradzieckie dreszcze, jakie przeszły jej ciało.

- Nie mógłbym odjechać ze świadomością, że mnie nienawidzisz - powiedział, starannie dobierając słowa.

- I wybac, że zrobiłem ci scenę z powodu tego twojego cholernego grata. Niełatwo przyszło Amy opanować drżenie głosu.

- W porządku, Worth. Już o tym zapomniałam.

- Źle mnie wtedy oceniłaś, Amy. Nie myślę o tobie jak o kochance na jedną noc i nigdy cię tak nie traktowałem. Te pogardliwe słowa to twój wymysł. Mnie nawet nie przyszłyby do głowy. Miała ochotę zapytać, czemu aż tak go to dręczy, lecz w końcu wrzuciła tylko lekceważąco ramionami.

- Daj spokój, nie ma o czym mówić. Było, minęło...

- Czyżby? - Zmrużył oczy i zbliżył ku niej twarz. Usłyszała jego nierówny oddech. - No, chodź, pożegnaj mnie ładnie.

Spragniony pocałunku szybko przyciągnął Amy ku sobie. Tym razem, działając pod wpływem instynktu samozachowawczego, zdołała wyrwać się gwałtownym ruchem z jego ramion. Wiedziała, że jeszcze chwila, a ulegnie twardym, gorącym wargom.

Z satysfakcją spojrzała na niego i zamarła widząc pełen udręki skurcz, jaki przebiegł mu po twarzy. Odstąpił o krok i wpatrzył się w nią twardo. Dostrzegła w jego oczach nieme oskarżenie, jak gdyby zadała mu nie zasłużony ból.

- Nie rób tego - wyszeptała z trudem. Wielkie niebieskie oczy zaszkliły się łzami, lecz rysy miała dziwnie nieruchome.

- Na Boga, Amy, dlaczego?

- Nie potrzebuję litości. A ty nie musisz czuć się winny. Dałam ci to, czego potrzebowałeś. A jeśli okażę się nieużyteczna, pozbędziesz się mnie jak tamtego nieszczęsnego starego grata. Śmiało spojrzała mu w oczy, a w jej głosie pojawiły się twarde tony.

- Przypuszczam, że gdybym nie była potrzebna twojej babci, dawno już odprawiłbyś mnie z kwitkiem. Zesztywniał, zaciskając pięści.

- Widzę, że uparcie wzbranasz się przed przypisaniem mi choć jednego ludzkiego odruchu - wycedził.

- Ale dobrze, niech i tak będzie. Trwaj w swoich przekonaniach, Amy, choćby były nie wiem jak błędne i krzywdzące. Kiedy wyjadę, będziesz miała wiele czasu na przemyślenia. Być może moja nieobecność załatwi to, czego nie zdołałem osiągnąć będąc przy tobie. Teraz, gdy wyrzucił z siebie wszystko, opanował się i uspokoił. Popatrzył na nią raz jeszcze tak, że serce szaleńczo zabiło jej w piersi, po czym odwrócił się i odszedł bez słowa. Amy stała nieruchomo na tarasie obserwując, jak wrzuca teczkę na siedzenie wozu, zapuszcza silnik i odjeżdża.

Nawet nie pomachał na pożegnanie. Łzy spłynęły jej po policzkach, srebrząc się w ukośnych promieniach jesiennego słońca.

- Żegnaj, Worth - wyszeptała dławiąc się płaczem. Nie od razu była w stanie wrócić do Jeanette. Kiedy wreszcie pojawiła się przy jej łóżku, starsza pani powitała ją życzliwym uśmiechem.

- Chodź, kochana, usiądź przy mnie i powiedz, o co pokłóciliście się z Worthem.

- On podarował mi samochód - wyrzuciła z siebie szczerze Amy. - To znaczy usiłował mi podarować - poprawiła się.

Jeanette spoważniała.

- Och, a więc o to chodziło...

- Nie pozwolę, aby mnie traktowano jak ubogą krewną. Lubię cię i jestem tutaj, ponieważ sama chcę. Dostaję normalną pensję i nie trzeba mnie przekupywać.

- Amy, jesteś niezależną i dumną dziewczyną. Rozumiem cię, bo zawsze byłam taka. Teraz cierpię, gdyż jestem zależna od innych i w dodatku wszystkiego mi się zabrania.

- Ze mną możesz się czuć swobodnie - zapewniła ją Amelia. - Proszę, żebyś nie traktowała mnie jak żandarma. Kiedy tylko poczujesz się lepiej, szefowo, pomogę ci uwolnić

się od tyranii tego wielkiego, ponurego typu - twojego wnuka. Obiecuję! – Ścisnęła staruszkę porozumiewawczo za rękę.

- Trzymam cię za słowo - zachichotała Jeanette. Po chwili przymknęła oczy i ziewnęła przeciągle. - Wiesz, poczułam się strasznie zmęczona. Ale Worth wyglądał jeszcze gorzej ode mnie. Czy aż tak się martwił?

- Tak, Jeanette. Przecież wiesz, jak bardzo cię kocha.

- Ja też go kocham. To okropne, że ma jeszcze zmartwienie ze mną. Amy, co z nim będzie, kiedy umrę? - zapytała drżącym głosem. - Przecież nie będę żyła wiecznie. Zresztą, w imię czego mam żyć? Czym się cieszyć? On już się nigdy nie ożeni. Nie mogę nawet marzyć o prawnukach. Nasz ród wygaśnie tak jak i moje nadzieje. Boże, jaki on będzie kiedyś samotny...

- westchnęła ciężko. Bruzdy na twarzy pogłębiły się. Amelia miała przed sobą zmęczoną życiem, starą kobietę.

- Wiem, Jeanette.

Boleśnie zacisnęła usta. Nagle poczuła nieśmiały dotyk starczych, drżących dłoni na swoich. Z pomarszczonej twarzy spojrzały na nią wnikliwie jasne oczy.

- Powiedz, czy myślałaś kiedykolwiek o nim... jako o mężczyźnie?

Amy potrzebowała całej siły woli, by nie pokazać, jakie wrażenie zrobiło na niej to pytanie. Z trudem przywołała na twarz zdawkowy uśmiech.

- Owszem, przyznaję - odparła lekkim tonem.

- Przecież jest bardzo przystojny.

- On cię obserwuje, Amy. Przez cały czas. Dlatego pytałam, bo widzę, że nie jesteś mu obojętna. Miałam nadzieję, że ty również coś do niego czujesz.

Amelia odwróciła głowę, żeby pani Carson nie dostrzegła zdradzieckiego rumieńca. Tak, oczywiście, czuła, zwłaszcza po tamtej niezapomnianej nocy. Niestety, nie miała żadnych szans u tego mężczyzny. Jedyne, co odczuwał w stosunku do niej, to wyrzuty sumienia. - Naprawdę tak myślisz? - zapytała, ciągle unikając wzroku starszej kobiety.

- Worth większość życia spędził samotnie. Nawet kiedy był mały, niełatwo nawiązywał kontakty z rówieśnikami. Podobnie było w szkole i na studiach. A potem wstąpił do piechoty morskiej i pojechał do Wietnamu. Kiedy wrócił, był w strasznym stanie. Pił przez cały rok i groziło mu, że wpadnie w nałóg. Wreszcie zdołałam go namówić, żeby spróbował jakiejś terapii - i udało się. Zerwał z tym i teraz pije jedynie przy rzadkich okazjach. Niestety, alkohol zastąpiły kobiety.

Głowa Jeanette opadła bezsilnie na poduszkę, lecz nie przerywała opowiadania.

- Miał ich wiele, co noc inną. Tak było, dopóki nie spotkał Connie. Wiesz, Amy, on zaznał w życiu mało miłości. Rodzice umarli wcześniej, a póki żył Jackie, Worth czuł, że jest na drugim planie. Dopiero po śmierci tamtego zyskał wszystkie moje uczucia dla siebie. Do tego momentu zawsze musiał zadowalać się resztkami. Dlatego, jak przypuszczam, zdrada Connie stała się dla niego przysłowiową kroplą, która przepełniła czarę. Widzę, że stracił nadzieję i zamknął się w sobie. Kiedy mówi czasem o swoich planach życiowych, nie ma tam miejsca dla drugiej osoby. Niestety, w ogromnym stopniu ja ponoszę za to odpowiedzialność.

- Tak wam współczuję... tobie i jemu - powiedziała miękko Amelia.

Jeanette popatrzyła na nią ze smutnym uśmiechem. - Muszę się przyznać, Amy, iż świadomie dążyłam do tego, byś znalazła się w naszym domu, blisko Wortha. Jesteś tak urocza, potrafisz tyle z siebie dać, a on potrzebuje kogoś, kto wniósłby trochę radości w jego ponury świat, kogoś, kto wyleczyłby go ze zgorzknienia i cynizmu. Gdyby tylko zechciał spojrzeć na ciebie bez uprzedzeń... Może kiedy wróci z Bogoty, coś się zmieni - szepnęła z nadzieją. Jeanette nie mogła wiedzieć, jak bardzo prorocze okazały się te słowa. Rzeczywiście, coś miało się zmienić... Minęło kilka tygodni, i z każdym dniem Amy czuła się gorzej. Kiedy zaczęły się regularne poranne mdłości, wiedziała już, że potwierdzają się najgorsze obawy. Pozytywny wynik testu ciążowego brzmiał jak ostateczny wyrok. Oczekiwała dziecka Wortha.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wiadomość o ciąży, choć spodziewana, dosłownie ścięła Amy z nóg. Co ma teraz zrobić? Jak zdoła ukryć swój stan przed bystrym wzrokiem Jeanette? A Worth? Rozmawiał z nią kilka razy przez telefon - zawsze zdawkowo, jak człowiek zupełnie obcy. Skoro jest mu obojętna, jak mogłaby powiedzieć mu o dziecku? Wolą się nawet nie zastanawiać, jak zareagowałby na taką wiadomość. Niewygodna, przypadkowa kochanka zawiadamia go o wpadce... Do tego pani Carson potrzebuje jej bardziej niż kiedykolwiek - a przecież kiedy ciąża zacznie się stawać zbyt widoczna, będzie musiała odejść. Amy zadręczała się rozmyślaniami. Nie mogąc znaleźć żadnego rozsądnego wyjścia, czuła się jak; w potrzasku. Walczyły w niej sprzeczne uczucia. Kochała tego mężczyznę. Instynktownie pragnęła tego dziecka, lecz z drugiej strony rozsądek ostrzegał, że nie podoła samotnemu macierzyństwu. Ogarniało ją przerażenie na samą myśl o reakcji rodziców. Jediną osobą, której mogła się zwierzyć, była Marla Sayers. Niestety, przyjaciółka wyjechała z Andym do jego matki. Poza tym, odkąd Amelia zaczęła pracę u Carsonów, coraz trudniej było im się umawiać i więzy przyjaźni osłabły. Teraz żałowała, że zaabsorbowana Worthem zaniedbała jedyną bliską jej w tym mieście osobę. Właśnie teraz, kiedy tak rozpaczliwie potrzebowała przyjaciela...

Codziennosc stała się dla Amy nieznośna. Znajdowała się na skraju załamania nerwowego. Z byle powodu zbierało jej się na płacz. Bardzo źle znosiła pierwsze miesiące ciąży. Osłabła, straciła apetyt, męczyły ją nudności i nieustanna senność. Piersi nabrzmiały boleśnie. I nadal nie potrafiła znaleźć rozsądnego wyjścia z sytuacji, choć zdawała sobie sprawę, że moment decyzji zbliża się nieuchronnie.

Tymczasem telefony od Wortha stawały się coraz rzadsze. Na szczęście nic też nie zapowiadało jego rychłego powrotu. Nie doceniła jednak Jeanette.

Któregoś wieczoru siedziała jak zwykle przy łóżku starszej pani czytając jej list, kiedy poczuła, że jest uważnie obserwowana.

- Amy, czy ty jesteś w ciąży? - usłyszała nagle. List upadł na podłogę. Spuściła głowę, gorączkowo myśląc, co odpowiedzieć.

- Tak... - wyjąkała w końcu. Nie było sensu kłamać. W luźnej bluzie już czuła się gruba jak beczka, choć nie minęły jeszcze trzy miesiące. A swoją drogą nie do wiary, że Wortha tak długo nie ma, pomyślała.

- To było dawno, Amy - powiedziała miękko Jeanette - ale zawsze będę pamiętać, co czułam, chodząc z pierwszym synem. Nigdy już później nie byłam tak szczęśliwa. Ale ty chyba nie jesteś, prawda?

- Widzisz, ja... po prostu nie wiem, co robić. Moi rodzice będą zaszokowani. Są wierzący, żyją w małym miasteczku i starali się mnie wychować na porządną dziewczynę.

- I jesteś porządną dziewczyną, Amy. - Jeanette serdecznie uściśniła jej rękę. - Myślę, że to musiało się zdarzyć, zanim przyszedł do nas. Kochasz tego mężczyznę? Amy przytaknęła ze spuszczoną głową. - A on?

- On nic nie wie. I myślę, że by mi nie pomógł. Wiesz, to była tylko jedna noc. Potrzebował kobiety, a ja straciłam dla niego głowę - wyznała zdławionym szeptem. - A potem... potem już mnie nie chciał. Klasyczna sytuacja. Nagle wpadłam w panikę, że mam już dwadzieścia osiem lat i nie wyszłam za mąż. Za to będę miała dziecko...

- Czy niema żadnej szansy, żeby ten człowiek ożenił się z tobą albo przynajmniej uznał dziecko?

- Och, przypuszczam, że wyparłby się nawet ojcostwa - odparła gorzko Amy. - On mnie nienawidzi, serio. Jestem dla niego tylko kłopotem, o którym jak najszybciej chciałby zapomnieć.

- Nie brzmi to wszystko zbyt pochlebnie - zauważyła z przekąsem pani Carson. - Może rzeczywiście nie powinnaś na niego liczyć. Ale jak sobie dasz radę, kochanie?

- Poszukam innej pracy. Bardzo mi przykro, Jeanette, ale nie będę mogła tu zostać.

- Dlaczego? Jeszcze nie jestem taka stara, żeby mi przeszkadzało dziecko!

- Oczywiście, że nie. - Amy usiłowała zdobyć się na jak najłagodniejszy ton. - Ale przeszkadzałoby Worthowi. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Przed jego wyjazdem nasze stosunki układały się fatalnie. Ledwie tolerował moją obecność. - Wiem, wiem. A miałam taką nadzieję, że jakoś się : między wami ułoży...

- Byłoby jeszcze gorzej, gdyby dowiedział się, że jestem w ciąży - ciągnęła Amy. Musiała za wszelką cenę wymóc na Jeanette zachowanie tajemnicy. - Dlatego proszę, żebyś mu nic nie mówiła. Chciałabym... chciałabym - wyjechać stąd, zanim on wróci.

- Ach, rozumiem - powiedziała nagle Jeanette, a Amy serce podeszło do gardła. - Uważasz, że jego opinia o tobie pogorszy się jeszcze, kiedy się dowie, tak? Kochana, Worth nie jest przecież bezdusznym prymitywem i rozumie, że każdemu może się zdarzyć chwila słabości. Gdybyś tylko dała mu szansę...

- Nie - przerwała stanowczo. - Nie zniósłabym myśli, że on wie. Błagam, obiecaj, że mu nie powiesz.

- Dobrze, kochana, obiecuję.

- Na jakiś czas pojedę do domu, żeby sobie wszystko w spokoju przemyśleć. - Amy rozwijała zbawczy pomysł, który niespodziewanie przyszedł jej do głowy. - Nie powiem

rodzicom. Są tak zajęci, że na razie nic nie zauważą. A kiedy ciąża zacznie się robić zbyt widoczna, poszukam sobie zajęcia gdzie indziej. Biedna Jeanette posmutniała i przygasła.

- Bardzo mi będzie ciebie brakowało, Amy. Czy mogłabym ci jakoś pomóc? Może chociaż finansowo...

- Nie, nie trzeba! - Amelia impulsywnie zerwała się z miejsca i przypadła do staruszki, obejmując ją czule. - Kocham cię, Jeanette Carson - wyznała drżącym głosem. - Nigdy cię nie zapomnę.

- Ani ja ciebie...

Ciężko było opuszczać dom, z którym wiązało się tak wiele wspomnień. Amy rozpaczliwie myślała że nigdy już nie zobaczy Wortha. Bolesna scena pożegnania z Jeanette jeszcze pogłębiła dręczące wyrzuty sumienia. Choć dom był pełen służby, a dodatkowo miała jeszcze zostać zaangażowana nocna pielęgniarka, Amy wiedziała, jaką krzywdę wyrządza tej wspaniałej staruszce, którą pokochała jak własną babcię. Niestety, nie miała wyboru. Przyszedł czas działania. Może dam sobie jakoś radę, pocieszała się. Żałowała tylko, że ten chłopiec - czy dziewczynka, będzie wychowywać się bez ojca. Nigdy nie przypuszczała, że zgotuje własnemu dziecku taki los. A Worth, o ironio, był właśnie w wieku, w którym narasta potrzeba ojcostwa. Nigdy nie dowie się, jak mógł być szczęśliwy. Zmarnowana miłość, zmarnowane szczęście... Znow miała ochotę się rozplakać.

Jack i Peggy Glenn dobiegali pięćdziesiątki. Tworzyli dziwną parę - on wysoki, szczupły, ciemnooki, ona - niska, pulchna, jasnowłosa. Wyjątkowe uczucie, jakie ich łączyło, było zawsze przedmiotem zazdrości Amy. Miała cichą nadzieję, że kiedyś taka miłość spotka i ją. Czekala więc wytrwale przez całe lata tylko po to, by znaleźć się w końcu na życiowym zakręcie, niekochana, samotna i w ciąży. - Jak to dobrze, że znow jesteś w domu - powiedziała do Amy matka, kiedy razem przygotowywały kolację. - Tęskniłam za tobą. Zostaniesz już z nami?

- Nie wiem, zobaczę. Muszę się jeszcze zastanowić. Wiesz, postanowiłam rozejrzeć się za inną pracą.

- Jakoś niewiele pisałaś nam o tym, co robiłaś ostatnio. Zdaje się, że asystowałaś jakiejś starszej pani, tak?

- Tak. To cudowna osoba. Już mi jej brakuje.

- Dlaczego w takim razie zrezygnowałaś? Amelia zastanawiała się, co ma powiedzieć, kiedy wtrącił się ojciec.

- Matka, daj dziewczynie spokój. Najważniejsze, że przyjechała i jest z nami. - Pogroził żartobliwie żonie i czule ogarnął córkę ramieniem.

- Chodź tu, dziecko. Nie oddam cię tej Świętej Inkwizycji - oznajmił z powagą, zręcznie uchylając się przed ścierką, którą z komiczną furią wymachiwała jego małżonka. Od tej pory nikt już nie zadawał Amy pytań. Stopniowo uspokoiła się, a dni zaczęły płynąć równym rytmem, wyznaczonym przez sprawy domowe. Chodziła na długie spacery, pomagała ojcu szykować posiłki, podczas gdy Peggy przygotowywała skład do druku. Czasem ogarniała ją nieznośna tęsknota za Worthem. Wówczas zastanawiała się po raz kolejny, jak zdoła zapewnić przetrwanie życiu, które nosiła w sobie. Brakowało jej Jeanette. Gnębiona wyrzutami sumienia z troską myślała o jej zdrowiu.

Minęły już prawie dwa tygodnie od czasu przyjazdu do domu. Amy wybrała się na samotny spacer po plaży. Powoli szła brzegiem, w luźnej, różowej sukience, z rozpuszczonymi włosami, zamyślonym wzrokiem błędząc wzdłuż zamglonej linii horyzontu. Na tej samej plaży jej dziadek zbierał tego dnia muszle. Siwy, szczupły starszy człowiek wyprostował się powoli, trzymając w ręku okazałą konchę i spojrzał na nią bystro.

Wreszcie przypomniałaś sobie o rodzinnych stronach - powiedział. - Pomyślałem, że nie doczekam się twoich odwiedzin, więc postanowiłem sam się pofatygować.

- Tak, tak, na pięć minut, w przerwie między niedzielnymi meczami - odparła złośliwie. - Byłam zresztą zajęta. Ktoś musi w końcu żywić tatę i mamę.

Dziadek zachichotał. Starannie wycierał muszlę z piasku połą białej koszuli, chytrze popatrując na wnuczkę.

- A mówiłaś im już? - zapytał z uśmiechem.

- O czym? - zdziwiła się. - O dziecku. Zamarła. Te jasne, mądre oczy patrzące z pomarszczonej twarzy były stanowczo zbyt bystre. Jakim cudem się domyślił?

- Wiesz, kobiety po prostu inaczej wyglądają - wyjaśnił z prostotą, jakby czytał w jej myślach. - Zbyt często to obserwowałem, żebym mógł się mylić. Pamiętaj, że dochowaliśmy się z babcią szóstki dzieci. Twój ojciec też by zauważył, gdyby oboje z Peggy nie byli tak zapatrzeni w siebie. Oni się tobą kompletnie nie przejmują. Ale ja - tak.

- Zawsze podejrzewałam, że jesteś jedyną osobą z rodziny, która tak naprawdę mnie kocha. - Uśmiechnęła się do niego, na poły tylko żartobliwie.

- Zawsze byłaś moim oczkiem w głowie, dziewczyno. Jesteś najwięcej warta z nich wszystkich. Kiedy babcia umarła, ty jedna przychodziłaś do mnie, choć było was piętnaścioro wnuków. Ale nie odpowiedziałaś mi, czy powiesz im o dziecku?

- Nie mogę - wyznała szczerze. - Oni sami są jak dzieci. Taka wiadomość by ich zabiła.

- A co z tym mężczyzną?

- Nienawidzi mnie.

- Ejże, jesteś pewna? - zapytał zerkając ponad jej ramieniem. - Stawiam dziesięć do jednego, że musi mu na tobie zależeć. Inaczej nie pofatygowalby się tutaj, prawda?

- On? Tutaj? - Amy niedowierzająco zmarszczyła brwi.

Odwróciła się powoli - i nagle poczuła, jak nogi uginają się pod nią. Znała tylko jednego mężczyznę o tak imponującej postaci. Jednego, który miał włosy tak czarne, że lśniły w słońcu niebieskawym odcieniem. Stał z rękami w kieszeniach szarego garnituru i wyglądał tylko odrobinę mniej groźnie niż rozwścieczony byk.

- Chyba znasz tego drągala, co? - mruknął z uciechą dziadek.

- Niestety, chyba tak - westchnęła zrezygnowana.

- Dzień dobry - powitał Wortha staruszek. - Świetna pogoda na rybki. Spróbujecie pan szczęścia?

- Zastanowię się - odparł Worth chłodnym tonem. Cała jego uwaga skupiona była na Amy. Dosłownie miażdżył ją wściekłym spojrzeniem, pełnym skrywanej furii.

- Pójdę dalej poszukać muszli - oznajmił dziadek, puszczając oko do wnuczki. - Pamiętaj, krzycz, gdyby coś się działo. A ty spróbuj tylko tknąć ją palcem - zwrócił się groźnie do przybysza - a pokażę ci, co to znaczy twardy chłopak z Georgii! Zawadiacko wcisnął swoją kapitańską czapkę na oczy i oddani się pogwizdując Amy popatrzyła za nim, błagając w myśli, by nie odchodził.

- Domyślam się, że to twój dziadek, tak? - rzucił Worth.

- Tak. A jak się ma twoja babcia? - zapytała intensywnie przyglądając się jego drogim, zapiaszczonym butom.

- Fatalnie. Pewnie dlatego ją zostawiłaś. Nie chciało ci się chodzić koło ciężko chorej staruszki.

Drgnęła, boleśnie dotknięta tymi słowami i tonem, jakim zostały wypowiedziane.

- Nie, Worth, nie dlatego odeszłam.

- Tylko nie opowiadaj mi tu głodnych kawałków - warknął, sięgając do kieszeni po papierosa. Zapalił i głęboko zaciągnął się dymem, nie spuszczać z niej oskarżycielskiego spojrzenia. - Prawie się dałem nabrać, panno Glenn. Naprawdę uwierzyłem w twoje dobre serduszko. Ale wszystko okazało się farsą. Kiedy tylko postawiłem nogę za próg, zostawiłaś babcie samą, przykutą do łóżka, i uciekłaś.

- Nie uciekłam - zaprzeczyła nerwowo. - Zawiadomiłam ją, że odchodzę i wytłumaczyłam, dlaczego.

- Ona nawet nie powiedziała mi, że cię nie ma. Dowiedziałem się dopiero po

przyjeździe. Ty podstępna mała oszustko! - wrzasnął wściekle, nie panując już nad sobą. - Wszystkie jesteście takie same, patrzycie tylko, co zagarnąć dla siebie!

- Przecież oddałam samochód! - uniosła się. Przeraził ją stan własnych nerwów. Jeśli przez niego stracił dziecko, nigdy mu tego nie wybaczy. Nigdy! - Wynoś się, Worth! - krzyknęła. - Daj mi wreszcie spokój!

- O, nie, moja droga - stwierdził szorstko. - Pojedziesz ze mną i wywiązesz się z umowy. Odeszłaś bez wcześniejszego wypowiedzenia. Obowiązuje panią jeszcze miesiąc pracy, panno Glenn.

- Nie mogę jechać - jęknęła.

- Możesz, kochana, możesz. Chyba nie życzysz sobie, żebym opowiedział twoim szanownym rodzicom, co nas łączy? - zapytał z groźbą w głosie. Poczwała, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Dlaczego chcesz, żebym wróciła? Przecież mnie nienawidzisz.

- Ale Jeanette cię kocha. Ona umiera, Amy. Życie straciło dla niej sens, ponieważ ty odeszłaś. A ja spędziłem przy niej zbyt wiele strasznych godzin, tam, w szpitalu, żeby teraz patrzeć, jak gaśnie. Dlatego musisz pomóc mi przywrócić ją do życia.

- Nie mogę! - zawołała udręczona Amy. Patrzyła na znajome rysy, które tak kochała, teraz stwardniałe w nienawiści, a łzy niepowstrzymaną falą napłynęły jej do oczu. Cierpiała, zaś on był zbyt zaślepiiony, by pojąć, dlaczego.

- Cóż, w takim razie idę do twoich rodziców - powiedział, odwracając się na pięcie. Błagalnie złapała go za rękaw.

- Proszę cię, Worth... - wyszeptwała.

- Nie rozumiem, skąd te opory. Czyżby gryzło cię sumienie? - zakpił bezlitośnie.

- Uważasz, że tylko ty jeden je posiadasz? - zapytała. - Słuchaj, ja... znalazłam inną pracę - dodała. uciekając spojrzeniem w bok.

- Tym gorzej dla ciebie, moja droga. Chodź, pomogę ci się pakować.

- Nie wierzę, żeby Jeanette chorowała z mojego powodu. - Amy spróbowała ostatniego argumentu.

- Niestety, tak. - Spojrzał na nią nienawistnie.

- A ona jest jedyną osobą w świecie, którą kocham - i zrobię wszystko, by nie odeszła. Dlatego dostarczę jej ciebie, jeżeli ma to być warunek jej przeżycia.

- Czy nie obchodzi cię, co będzie ze mną?

- Dlaczego ma mnie obchodzić? - rzucił obojętnie, prowadząc ją ku domowi. - Ja dla ciebie nic nie znaczę, ale myślałem, że przynajmniej dla niej masz ludzkie uczucia.

- Bardzo mi jej żal, Worth.

- Doprawdy, trudno się tego domyślić po twoim zachowaniu.

Dalsze tłumaczenia nie miały sensu, przynajmniej nie w tym momencie. Amy powlokła się za Worthem ze zwieszoną głową. Zawsze była dobrym piechurem, lecz teraz szybko się męczyła. Kiedy doszli do domu, twarz miała białą jak kreda.

- Hej, kochanie! - powitała ją radośnie Peggy z werandy. - Widzę, że już pan ją znalazł, panie Carson.

- Tak, znalazłem. - Uśmiechnął się. - No jak, sama im powiesz, czy mam cię wyręczyć? - zasyczał Amelii do ucha.

Amy zebrała się w sobie i weszła na schodki, starając się nie patrzeć matce w oczy. - Muszę wracać do Chicago - oznajmiła spokojnie.

- Stan pani Carson gwałtownie się pogorszył.

- Och, tak mi przykro - powiedziała Peggy współczująco.

- Mnie również - dodał Jack, czule obejmując córkę ramieniem. - Nie nacieszyłem się tobą, dziecko.

- Wrócę niedługo, tato - zapewniła Amy, wspinając się na palce, by ucałować go w ogorzałe policzki.

- A teraz już pójdę się pakować.

Zza drzwi swojego pokoju dyszała, jak całe towarzystwo w doskonałej komitywie rozmawia na werandzie.

Jechali na lotnisko w Savannah wynajętym samochodem. Przez całą drogę Worth nie odezwał się do niej słowem. Wpatrywał się przed siebie, nie rzuciwszy nawet okiem na piękne stare domy o koronkowo rzeźbionych fasadach i ocienione drzewami romantyczne skwery. Amy uwielbiała takie dawne, nastrojowe miasta i w normalnych okolicznościach byłaby zachwycona podróżą. Niestety, ponure myśli i towarzystwo nadętego, zajadle milczącego mężczyzny odbierały jej nawet te nieliczne chwile wytchnienia. Ponure przewidywania, że lot wykończy ją do reszty, potwierdziły się w całej pełni. Zaledwie maszyna nabrała wysokości, Amy już musiała biec do toalety. Zdążyła w ostatniej chwili. Drżąc wycierała twarz papierowym ręcznikiem i zastanawiała się, czy będzie miała siłę wrócić na miejsce. Worth spojrział na nią, zmarszczywszy brwi.

- Dobrze się czujesz?

- Miałam infekcję wirusową i jeszcze nie doszłam do siebie - skłamała gładko.

- Może masz jakieś tabletki? - zapytał bardziej troskliwym tonem, przyjrzawszy się jej wymizerowanej twarzy. Miała ze sobą środek przepisany przez lekarza, lecz pomimo

zapewnień, że jest nieszkodliwy dla płodu, uznała, iż weźmie go tylko w ostateczności.

Przymknęła oczy. Niestety, fala mdłości znów powracała. Sięgnęła do torby i wyjęła opakowanie, ukradkiem zasłaniając je dłonią przed wzrokiem Wortha. Jeszcze tylko tego brakowało, by dostrzegł wielki napis na opakowaniu, głoszący, że lek jest nieszkodliwy dla kobiet we wczesnych okresach ciąży! Poprosiła stewardesę o kawę i szybko połknęła pigułkę.

- Jakoś dziwnie wyglądasz - zauważył po chwili.

- Och, nie każdy tak świetnie znosi latanie jak ty - powiedziała z udanym zniecierpliwieniem. – poza tym już na plaży zaczęło mi się robić niedobrze na twój widok - dodała zjadliwie. Na jego ustach po raz pierwszy pojawił się cień uśmiechu.

- Mój Boże, wydaje się, że lata minęły, odkąd widziałem cię ostatni raz - szepnęła dziwnie miękko.

- Tylko lata? Szkoda. Miałam nadzieję, że od ostatniego spotkania będą nas dzielić lata świetlne - odparowała. Poirytowanym ruchem wyciągnął papierosy.

- Co cię tak denerwuje? - jątrzyła, teraz już bardzo zła. - Mam tego kompletnie dosyć!

- Cholernie mi wszystko utrudniasz.

- Ty też. Bardzo mi przykro z powodu Jeanette. Naprawdę ją uwielbiam, ale nie mogę spędzić całego życia w Chicago, a już zwłaszcza w twoim domu. Nie mogę patrzeć na ciebie! Nienawidzę cię, Worth!

W twarzy mężczyzny nie drgnął ani jeden mięsień. Wydawało się tylko, że na moment przestał oddychać. Wreszcie wymacał gazetę w kieszeni fotela, usiadł wygodniej, wyciągając długie nogi, i zatopił się w lekturze, jakby zapomniał o całym świecie.

W kilka godzin później zajechali już zabranym z parkingu mercedesem pod drzwi domu w Lincoln Park. Amy wysiadła na miękkich nogach, otumaniona zmęczeniem i środkami uspokajającymi. Marzyła jedynie, by natychmiast się położyć, ale wiedziała, że Worth na to nie pozwoli.

Otworzył bagażnik i zaczął wyjmować walizki.

- Trzymaj! - zawołał, wręczając jej z rozmachem ciężką torbę podróżną.

Nawet nie próbowała jej złapać, obawiając się, że tak nagle szarpnięcie może zaszkodzić dziecku. Torba upadła na schody. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Pewnie moje perfumy, pomyślała obojętnie.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że jesteś taka słaba - powiedział, schylając się po torbę. - Dobrze, wezmę ją. Otwórz tylko drzwi.

- Ach, i jeszcze jedno - ostrzegł, zatrzymując się w holu i patrząc jej groźnie w oczy. - Nie próbuj przedłużać swojego pobytu ponad potrzebę. Kiedy tylko babcia stanie na nogi,

masz się wynosić. Nie chcę cię tutaj. Im wcześniej znikniesz z mojego życia, tym lepiej. Tamtej nocy miło się zabawiłem, przyznaję, ale nie potrzebuję cię więcej - oświadczył lodowato.

- Wyjątkowo się zgadzamy, bo mogłabym ci odpowiedzieć to samo - syknęła, zaciskając z udręką powieki.

Gdy stanęli pod drzwiami pani Carson, gestem zaprosił ją do środka.

- Idź. Ja zajmę się bagażami.

- Och, Jeanette! - Amy ze ściśniętym gardłem patrzyła na kruchą, wymizerowaną postać o bledziutkiej, pooranej zmarszczkami twarzy.

Tylko w smutnych oczach na moment pojawił się na jej widok dawny, żywy błysk.

- Och, moje dziecko - wyszeptał drżący głos.

- Amy, kochana, jak strasznie mi cię brakowało! Worth cię tu przywiózł, tak? Powiedz, jak się czujesz? Podróż musiała być dla ciebie okropna...

- Prawie cały czas chorowałam, ale to nieważne. Tak się cieszę, że znów tu jestem! Co z tobą, Jeanette?

- Tracę apetyt, moje dziecko. Słabnę. Nie ma we mnie woli życia. Pamiętasz, kiedy wyjeżdżałaś, mówiłam ci, że nie mam już po co żyć.

- Nie możesz się poddawać, Jeanette - powiedziała Amelia, przysiadając na łóżku i obejmując dłońmi wychudłe ręce, spoczywające na białych koronkach pościeli. - Przecież Worth jest już w domu.

- Tak, jest w domu - dosłyszała gderliwą od powiedź. - Najwyżej przez dziesięć minut dziennie.

A i to jest nieznośne, bo bez przerwy klnie i musztruje służbę. Naprawdę nie wiem, co mu się mogło stać. Bardzo się zmienił od powrotu z Kolumbii.

- A co z pielęgniarką, którą miałaś wynająć? - Amy próbowała zmienić temat.

- Nie znoszę pielęgniarek. Żadna nie zastąpi mi ciebie. Och, Amy, tak się za tobą stęskniłam...

- Ja też, Jeanette. - Uśmiechnęła się ze wzruszeniem. - Tylko nie wiem, co będzie, kiedy on zacznie wreszcie coś podejrzewać - wyznała.

- Czy nie możesz mu po prostu powiedzieć? Po słuchaj, dziewczyno, przecież nie możesz brać na siebie całej winy. Tamten mężczyzna zachował się paskudnie. Wiadomo, jak niełatwo jest samotnej kobiecie znosić ciężę. Nawet Worth to zrozumie, zapewniam cię.

- Ciężę?

Mężczyzna, stojący w uchylonych drzwiach, pobałdł nagle i rozszerzonymi oczami

wpatrywał się w Amy, badając każdy szczegół jej ciała. Miała nieodparte wrażenie, że w jego głowie obracają się przysłowiowe kółka i wszystkie elementy układanki zaczynają tworzyć logiczną całość: luźne ubranie, niechęć do podróży, mdłości, unikanie ciężarów. Zacisnął powieki. - O, mój Boże, jak ja mogłem... - wyszeptał wstrząśnięty. - Zmusiłem cię, żebyś tu przyjechała, narażając na poronienie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W Amelii, patrzącej na wstrząśniętego Wortha, walczyły sprzeczne uczucia. Satysfakcja na widok szoku, jakiego doznał na wiadomość o dziecku, szybko ustąpiła miejsca niepewności. Co on teraz myśli? Jest wściekły? Przerażony? A może poczuł się oszukany? Czy... wyprze się ojcostwa? Obserwowała go czujnie, jak myśliwy zaczajony na zwierzynę, wypatrując najmniejszej reakcji. Kiedy jednak rozwarł powieki, jego spojrzenie było zupełnie puste. Patrzył na Amy, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

- Przepraszam cię - wyjąkała wreszcie niepewnie.

- Przecież nie chciałam jechać. Gdybyś tak nie nalegał, nigdy byś się nie dowiedział.

Nagły skurcz ściągnął jego twarz.

- I dlatego właśnie wyjechałaś? Mów!

- Oczywiście, że dlatego - włączyła się energicznie Jeanette.

Od czasu, kiedy pojawiła się Amy, starszej pani od razu ubyło lat. Teraz wyprostowała się na poduszkach i oskarżycielsko popatrzyła na wnuka z dawnym, bojowym błyskiem w oku.

- Wiedziała, jaką masz o niej opinię, Worth, i oba wiała się, że kiedy się dowiesz, nie zniesie twojej wzgardy. Gdy wyjeżdżała, musiałam jej obiecać, że nic ci nie powiem.

Amy siedziała na brzegu łóżka ze zwieszoną głową. Z trudem szukała właściwych słów.

- Powiedziałam twojej babci, że ojciec dziecka nic nie wie - zwróciła się do Wortha, starając się nadać swoim słowom obojętny ton, jak gdyby mówiła o anonimowym mężczyźnie. Jednocześnie błagała go wzrokiem, by podjął ten wątek ze względu na Jeanette. Za wszelką cenę chciała uniknąć rodzinnego skandalu.

- I nie chcę, żeby wiedział. To moje dziecko. Urodzę je, wychowam i będę kochać sama - oświadczyła.

- Nie, kochanie, nie sama - zaprotestowała nagle Jeanette stanowczym tonem. - Zostaniesz tutaj, a ja ci pomogę. A jeśli on będzie miał coś przeciw temu, niech się wyprowadzi - dodała, piorunując spojrzeniem osłupiałego wnuka. - Mając takie maleństwo w domu, będę żyła sto lat. Kocham dzieci!

Worth przestał wreszcie podpierać drzwi i wkroczył do środka, zatrzymując się przed dziewczyną. Nerwowo przeczesał palcami czuprynę. Czarne kosmyki jak zwykle łobuzersko opadły mu na oczy, a potężna sylwetka zdawała się wypełniać cały pokój, cały świat Amelii, jej udręczone myśli. Spuściła wzrok. Patrzenie na niego było męką.

- Zdziwiałe, że usiłujesz mnie chronić po tym, co ci zrobiłem - stwierdził, przysuwając sobie krzesło i siadając przy łóżku. Jeanette popatrywała zdumiona to na jedno, to na drugie.

Worth ujął zimną dłoń Amy, a potem zwrócił się do swojej babci.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział łagodnie. - Tym mężczyzną, którego ona tak usiłuje chronić, jestem ja. Szukałem u niej pocieszenia w tamtą straszną noc przed twoją operacją, a Amy w porywie serca dała mi wszystko, czego potrzebowałem. Dziecko jest moje, babciu.

Twarz starszej pani rozpromieniła się, a oczy nabrały młodzieńczego blasku.

- Będę miała prawnuka? - zapytała z pełnym niedowierzania zachwytem, kiedy tylko zdołała odzyskać oddech.

- Obawiam się, że tak. - Uśmiechnął się, szukając wzrokiem zawstydzonych oczu Amelii. - Nie ma najmniejszej szansy, by ojcem okazał się ktoś inny.

Amy nie panowała już nad sobą. Wargi jej drżały, a oczy zaszklily się łzami. Opuściła głowę. Słone krople spadły na wielką, męską rękę, która kryła jej dłoń.

- Nie płacz - szepnęła. Wyciągnął chusteczkę i troskliwie otarł jej mokre policzki. - Już nie trzeba, wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście, kochana, Worth i ja zajmiemy się tobą. - Jeanette delikatnie pogładziła długie, zmierzwiłone włosy dziewczyny. - Tobą... i maleństwem - rozmarzyła się znów. Szczęśliwa, z błogim uśmiechem na twarzy, w niczym nie przypominała już ciężko chorej, starej kobiety, jaką była jeszcze kilkanaście minut wcześniej. Nagle drgnęła, tknięta niespodziewaną myślą.

- O rany, Worth, przecież wy nie macie ślubu!

- Za tydzień będziemy go mieli - zapewnił beztrąsko, wstając i nonszalancko wpychając ręce w kieszenie.

- A ty siedź cicho. - Odwrócił się do Amy, która właśnie otwierała usta - Masz wyjść za mnie i już. I nie radzę ci się stawiać, jeśli nie chcesz, żeby twoi rodzice poznali pewną ładną historyjkę.

- Ty draniu!

- Aa, teraz rozumiem, jak zdołałeś ją skłonić do przyjazdu. Mały szantażyk, co? - stwierdziła Jeanette, koso popatrując na Wortha.

- Inaczej bym jej tutaj nie ściągnął - wyznał z ponurym westchnieniem i wstał, odwracając się ku oknu.

- Zobaczyłem, że historia się powtarza - mruknął. Obie kobiety wymieniły spojrzenia.

- To zabawne - zaśmiał się gorzko - potrafię błyskawicznie oszacować koszty, wygrać przetarg na intratny kontrakt, wznosić niebotyczne wieżowce, a gdy przychodzi do oceny ludzkich charakterów, jestem bezradny jak dziecko. Odwrócił się z wolna ku Amelii i popatrzył na nią z ogromnym żalem.

- Amy, mówiłem ci dzisiaj straszne rzeczy. Mogę mieć tylko nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz. W każdym razie wiesz, że jestem równie przerażony tą sytuacją jak ty.

A więc nie chce dziecka, pomyślała. Cóż, mogła się tego spodziewać. Poczula się nagle stara i zmęczona.

- Kochana, może byś się położyła? Musisz być wykończona - powiedziała z troską Jeanette. - Mną się nie przejmuj. Czuję się lepiej i nawet nabrałam apetytu na porządną kolację. Teraz mam wreszcie o czym marzyć. Wiesz, umiem robić na drutach. Nie musisz się martwić o buciki i czapeczki dla twojego maleństwa. Skinęła na Wortha.

- Zaprowadź ją do jej pokoju, a mnie przyslij Baxtera. Boże, ile będzie spraw do załatwienia! Trzeba dać ogłoszenia do rubryki towarzyskiej, załatwić zaproszenia, a Amy musi zawiadomić swoich rodziców, i...

Worth wyprowadził Amelię na korytarz, nie słuchając dalszego ciągu monologu. Weszli do pokoju gościnnego. Zerknęła na zasłane łóżko. Wspomnienia napłynęły falą, budząc w niej dreszcz. Jej torby stały już na półce i w całym pomieszczeniu unosił się zapach perfum z rozbitego flakonu.

- Kupię ci nowe kosmetyki - odezwał się. - Przepraszam, że tak cisnąłem ci tę ciężką torbę. Gdybym wiedział, że jesteś w ciąży, nigdy bym tego nie zrobił.

- Och, przestań mnie traktować jak chorą - zniecierpliwiła się. Podeszła do łóżka, z ulgą zrzuciła sandały z opuchniętych stóp i wyciągnęła się z rozkoszą. - Ależ jestem zmęczona - westchnęła, przymykając oczy. Nagle poczuła, jak Worth przysiada koło niej i troskliwie okrywa jej nogi kocem. Drgnęła i spojrzała na niego, znów czujna i napięta.

- Nie chciałem cię skrzywdzić - powiedział łagodnie, miękkim ruchem odgarniając jej z czoła zwichrzone pasma włosów. - Przepraszam cię. Przepraszam za wszystko. Odwróciła głowę, by ukryć łzy. Nauczyła się już znosić jego agresywne zachowanie, lecz niespodziewana czułość kompletnie wytrąciła ją z równowagi.

- Naprawdę nie chciałam, żebyś się o tym dowiedział - wyszeptała łamiącym się głosem.

- Wiem, Amy.

Końcami palców dotknął jej warg. Jego oczy miały dziwny, nieznaną wyraz.

- Właściwie dlaczego nie chciałaś, żebym wiedział o dziecku? - dopytywał się. Już nie

był zły, a jedynie ciekawy. Amy uspokoiła się nieco.

- Ponieważ wiedziałam, jak zareagujesz. Bałam się nawet, że... - nerwowo skubnęła koc - nie uwierzysz, że jest twoje.

- Czyś ty zwariowała?! A czyje miałyby być?

- Mogłeś oskarżyć mnie, że się Kocham z kimś innym - wymamrotała zawstydzona.

- Jasne. Z kim, z Baxterem? Amy zacisnęła usta. Jej zacięta mina i oskarżycielski wzrok wywołały tylko uśmiech na twarzy Wortha.

- Przywróciłaś babcię do życia. Teraz ma o czym marzyć - powiedział.

- Wiem, widziałam, jak się zmieniła. Przynajmniej ona jest szczęśliwa z powodu mojego dziecka.

- A ty nie? - zapytał, unosząc jej podbródek i uważnie patrząc w oczy. - Nie chcesz go mieć?

- Oczywiście, ja chcę, ale ty - nie!

- Skąd wiesz?

- Przecież sam mi mówiłeś, że nie chcesz się z nikim wiązać, pamiętasz?! - wykrzyknęła, gwałtownie siadając na łóżku. - Jakie to typowo męskie! Jedno słodkie szaleństwo i po krzyku... - prychnęła wzgardliwie.

- No, proszę, a myślałem, że oddałaś mi się wyłącznie z litości.

- Raczej powinnam mieć litość nad własną głupotą, która...

Worth przypadł do niej nagle i zamknął jej usta pocałunkiem. Amy szarpnęła się, lecz objął ją mocno.

- Spokojnie, nic nie rób - wyszeptał. Błagalnie złapała go za rękę.

- Worth, proszę...

Ale już całował ją tak jak dawniej, czule i namiętnie, i tak samo jak kiedyś nie mogła się oprzeć jego magicznemu czarowi. Splotły się ich języki, a spragnione ręce mężczyzny rozpoczęły wędrówkę po jej ciele.

- Och, Worth - jęknęła, próbując jeszcze protestować, ale w myślach miała już słodki zamęt.

- Moje dziecko - wyszeptał wzruszony, z ustami przy jej ustach. - Ty nosisz moje dziecko... Zdawało się, że ta myśl dodała żaru jego pieścizom. Z radością odkrywał na nowo delikatne kobiece kształty. Przymknęła oczy, gdy błędził rękami po jej nabrzmiąłych, swędzących piersiach. Nagle poczuła chłodny powiew na nagiej skórze i uniosła głowę. Sukienka była już rozpięta, a Worth, odchyliwszy się do tyłu, uważnie chłonał wzrokiem każdy szczegół jej szczupłej postaci, szukając pierwszych subtelnych oznak macierzyństwa.

- Jak ci z tym do twarzy - powiedział z typową satysfakcją mężczyzny, który udowodnił kobiecie, że naprawdę nim jest. - Piersi masz większe.

- I swędzące.

- A to jest ciemniejsze. - Powiódł opuszką palca po pociemniałej obwódce nabrzmiałego sutka.

Jego spojrzenie ześlizgnęło się w dół, ku lekkiemu zaokrągleniu brzucha, widocznemu nad różowymi, koronkowymi figami. Worth zawahał się przez moment, nim go dotknął, jakby bał się, że zrobi Amy krzywdę. Popatrzył pytająco w jej oczy, po czym położył płasko dłoń na skórze, nakrywając miejsce, w którym rosnęło ich dziecko.

- Mój Boże, nie uwierzysz, ale nigdy nie łączyłem z tym spraw łóżkowych - wyznał z rozbijającą szczerością. - Naprawdę, nigdy nie pomyślałem, że stąd właśnie biorą się dzieci.

- Zdumiewające! Czyżbyś uważał, że kobiety przynoszą je z ogrodu, wyjęte z główki kapusty? - Roześmiała się.

- Żebyś wiedziała... - Odwzajemnił uśmiech. Było teraz w jego twarzy coś nowego, czulego. Niedawne napięcie i agresja zniknęły. Amy nagle poczuła długo tłumioną potrzebę rozmowy.

- Nie gniewaj się, że tak szybko wtedy uciekłam - powiedziała. - Jeanette obiecała, że weźmie pielęgniarkę, a ja byłam tak przerażona, że... Uciszył ją delikatnym pocałunkiem.

- Mogę sobie wyobrazić, Amy. Ja tymczasem zaszyłem się z dala od domu, jak wilk samotnik, by wylizać się z ran. Myślałem, że uda mi się zapomnieć o tobie, dlatego nawet nie chciałem słyszeć twojego głosu przez telefon. Teraz nie mogę tego odżalować. Gdybym nie stawiał spraw na ostrzu noża, już dawno wiedziałbym o dziecku.

- Powiedziałaś, że uciekłeś, żeby lizać rany? - zapytała z pełnym wahaniem niedowierzaniem. Worth spuścił głowę i uważnie przypatrywał się swojej wielkiej dłoni na jej brzuchu.

- Nie pozwoliłaś mi się nawet pocałować na pożegnanie - stwierdził spokojnie. - Odsunęłaś się z takim obrzydzeniem, jakbyś dotknęła węża.

- Och, nie! - Amy zaprzeczyła gwałtownie, wyciągnęła rękę ku twarzy Wortha i delikatnie pogładziła go po policzku. Pochwycił jej dłoń i ucałował.

- Nie - powtórzyła dobitnie. - Odsunęłam się, bo myślałam, że mnie nienawidzisz. A wiedziałam, że jeśli pozwolę, byś mnie pocałował, nie zdołam ukryć swoich prawdziwych uczuć.

- A więc to był tylko błąd? - zapytał z nadzieją, wyczekująco patrząc jej w oczy.

- Tak - odparła szczerze. - Cała ta zimna, wyniosła; duma, z jaką cię traktowałam, była

świadomą grą. Nie chciałeś mnie i wiedziałam o tym. Pragnęłam oszczędzić ci obaw przed zaangażowaniem się z mojej strony.

- Ja ciebie nie chciałem? - Zaśmiał się gorzko, jakby usłyszał coś szczególnie niedorzecznego. - Ja ciebie nie chciałem, niesłychane! Tam, w Ameryce Południowej, nie mogłem jeść, nie mogłem spać, każdej nocy związałem się na łóżku pożądam twojego ciała. Mijały tygodnie i miesiące, a ja nadal nie byłem sobą. Wszystko mi zobojętniało, zawałem kontrakt, i jedynie nadzieja utrzymywała mnie przy życiu. Łudziłem się, że kiedy wrócę, zdołam cię przekonać, iż nie byłeś dla mnie tylko lekarstwem na jedną noc rozpacz. A kiedy wreszcie wróciłem, ciebie już nie było.

- Och, Worth, nie myśl już więcej o tym – szepnęła Amy, głaszcząc jego pochyloną, ciemną głowę. Jak to dobrze, że chociaż jej pożądał. Choć nie miało to wiele wspólnego z miłością, zapewne cierpiał jeszcze bardziej niż ona. - Ja przecież też ciebie pragnęłam. Do niczego mnie nie zmuszałeś - przypomniała mu.

- Ale myślałem, że potem mnie znenawidziłaś. I sam nienawidziłem siebie za sposób, w jaki to się stało.

- Słuchaj, ja również martwiłam się o Jeanette, więc doskonale rozumiałam, co przeżywałaś. Wiedziałam, że w rozpacz, po alkoholu, kierowałeś się tylko instynktem. Ale to nieważne. Dałeś mi więcej... rozkoszy, niż mogłam sobie wymarzyć. Dzięki tobie przekonałam się, że nie jestem jeszcze za stara, by stać się prawdziwą kobietą.

- Jesteś o wiele bardziej kobieca, niż mogłem się spodziewać po zakompleksionej dwudziestoosmioletniej dziewicy - mruknął, kładąc rękę na jej nagiej skórze. - Ma pani piękne ciało, panno Glenn. Pozwolisz mi je pieścić, kiedy już będziemy po ślubie? Będziesz ze mną spała, Amy? Zadrzała w przecuciu rozkoszy.

- Jeśli będziesz mnie chciał...

- Tak. Będę cię chciał. I spróbuję ustawić swoje sprawy tak, żebym miał więcej czasu dla ciebie. A teraz musisz wreszcie odpocząć. Zaśnij, kochana. Zobaczymy się później - powiedział, z ociąganiem zapinając jej sukienkę.

Ślub odbył się w tydzień później, tak jak zapowiedział Worth. Promieniejąca szczęściem Jeanette i Baxter byli świadkami w czasie krótkiej ceremonii. Wentworth Carson zdawał się być wyraźnie zachwycony faktem, że bierze za żonę Amelię Glenn.

Amy była natomiast zdumiona i zachwycona łatwością, z jaką przystosowała się do tak niespodziewanej zmiany w życiu. Z pewnością nie była nieszczęśliwa, zwłaszcza że Worth zrobił się niesłychanie czuły i opiekuńczy. Nawet Barter uśmiechnął się pod wąsem, gdy jego chlebobawca wyrwał mu z ręki tacę ze śniadaniem, zaniósł do sypialni małżonki i

sam wkładał jej do ust kęs po kęsie.

Gdyby jeszcze mnie kochał, byłabym w niebie, myślała Amy, patrząc na potężnego mężczyznę, klęczącego przy jej łóżku. Nie wyjechali w czasie miodowego miesiąca. Worth stanowczo sprzeciwiał się podróży samolotem, mimo protestów Amy, która zapewniała, że tym razem wszystko będzie dobrze. W tej sytuacji Jeanette taktycznie oznajmiła, że spędzi parę dni u przyjaciół. Opór nie zdał się na nic, była po prostu nieprzejednana. Dowiedzieli się, że mają się zamknąć, bowiem potrzebują trochę czasu dla siebie, zaś ona czuje się już zupełnie dobrze i ma dosyć siedzenia w chałupie.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Wieczorem już jej nie było. Zjedli kolację sami, po czym zasiedli przed telewizorem, by obejrzeć na wideo nowy film, który kupił Worth. Była to sensacyjna komedia o romansowym wątku, tak zabawna, że pod koniec Amy ze śmiechu rozboleł brzuch.

- Wiesz, widziałem ten film, kiedy pojechałem w interesach do Nowego Jorku i natychmiast zapragnąłem go mieć. Bohaterka przypomina mi ciebie. Uwielbia rozrabiać, ma ostry język i jest bardzo, bardzo ładna.

Amy zarumieniła się.

- Teraz już wyglądam grubo - szepnęła.

- Teraz jesteś w ciąży...

Siedzieli blisko siebie na sofie. Zamknięte drzwi salonu, grube, zaciągnięte kotary i przyciemnione światło stwarzały nastrojową, intymną atmosferę, podkreślaną jeszcze przez cichy pomruk przewijającej się kasety. Tym bardziej podziałał na Amy gwałtowny oddech Wortha, owiewający gorącym jej szyję i twarz. Kiedy poczuła jego wargi na swoich, poddała im się chętnie.

- Chcę cię - wyszeptał. - Chcę cię, teraz.

- Ależ Worth, ktoś może wejść - zaprotestowała słabo, drżąc pod dotknięciem jego rąk.

- Jest dziewiąta i wszyscy już poszli - mruknął, całując ją znowu. Słyszała głuchy łomot jego serca.

- Amy, ja płonę... - wyszeptał chrapliwie. - Proszę, daj mi siebie, daj. - Niecierpliwie błędził rękami po jej ciele, przygniatając ją swoim ciężarem, aż opadła na oparcie sofki.

- Worth... jesteś taki ogromny - wyjąkała bez tchu, przerażona gwałtownością jego pożądania.

- Nie bój się, będę uważał. Nie skrzywdzę naszego dziecka.

- Och, wiem - zaśmiała się niepewnie. - Ale kochanie, ta kanapka jest strasznie krótka!

- Nazwij mnie tak jeszcze - poprosił z zachwytem i całując Amy raz po raz zaczął powoli zdejmować z niej ubranie.

- Kochanie... - powtórzyła, nie dając się zdystansować w rozbieraniu. Zręcznie rozpięła mu koszulę i z jawnym westchnieniem zachwyty położyła ręce na szerokiej, ciemno owłosionej piersi mężczyzny. Teraz już i jej pieszczoty stawały się gwałtowne. Wreszcie mogła dać upust tak długo tłumionemu pożądaniu.

- Kochany, ja też cię chcę. Tak bardzo cię chce Worth!

- Dam ci siebie całego, dam ci teraz, już - szeptał, gorączkowo szarpiąc się z klamrą u paska. - Tyle czasu cię nie miałem, Amy! Objęła go mocno i całowała żarliwie, pozwalając mu ułożyć się tak, by mógł wreszcie dotrzeć do źródła rozkoszy. Ich spragnione ciała pamiętały tamtą noc. Bez najmniejszego wahania, w doskonałej harmonii zaczęli dążyć do upragnionego momentu spełnienia. Worth odchylił głowę do tyłu i roześmiał się na cały głos, nareszcie szczęśliwy i wyzwolony od napięcia.

- O, tak, tak, kochana... - szeptał, czując, jak ciało Amy w ekstazie reaguje na każdy jego ruch. Dziko, coraz szybciej, gwałtowniej...

- O, Boże, spalasz mnie...! - wykrzyknął.

Chciała powtórzyć mu to samo, ale nie zdążyła.

To stało się nagle, zbyt nagle. Potężniejąca fala rozkoszy porwała ją i wyrzuciła wysoko, tam gdzie mieniły się jak w kalejdoskopie wszystkie kolory tęczy, a potem cisnęła w dół, w odmęt palących płomieni.

Powoli, bardzo powoli wracała do rzeczywistości.

Worth leżał obok, a bezwładne ciało zdawało się zapadać w materac. Gładziła go czule po piersi, unoszonej ciężkim oddechem, wsłuchując się w łomot serca.

- Worth...

Już uspokojony, uniósł głowę i wpatrzył się w jej niebieskie, ciągle jeszcze nieprzytomne oczy.

- Och, Amy, wybacz, za bardzo się pospieszyłem. Wszystko przez to, że tak długo czekałem. Wiesz, uwielbiam to robić z tobą. - Nagle drgnął, zaniepokojony. - Czy nie zaszkodziliśmy dziecku?

- Nie - uśmiechnęła się. Wyciągnął rękę i lekko pogładził wypukły brzusek.

- Ma już dwanaście tygodni, prawda? - zapytał po chwili, szybko sprawdzając w myśli daty.

- Tak. Jeszcze półtora miesiąca i zacnie się poruszać - wyjaśniła, z rozbawieniem patrząc na jego osłupiałą minę.

- Jak to, nie wiedziałaś? One kopią. Na początku są tylko lekkie tupnięcia, ale potem można nawet wyczuć maleńkie nóżki i rączki... hej, Worth, co z tobą? - zawołała z niepokojem, widząc, że ma błędne spojrzenie.

Nagle wtulił twarz w jej ramię, a z gardła wydobył mu się krótki szloch.

- Widać krew moich włoskich przodków daje znać o sobie - mruknął wreszcie, bynajmniej nie zawstydzony. - Ojcostwo to bardzo emocjonująca sprawa. A jak pomyślę o maleńkich rączkach i nóżkach... - Westchnął z zachwytem, przyzymkając oczy.

- Więc naprawdę chcesz tego dziecka?

- Tak, Amy. Już kocham je jak szalony.

- Ja też. - Wzruszona przytuliła się do niego.

- Nareszcie będę miała kogo kochać i kogoś, kto będzie mnie kochał. Rodzice dbali o mnie, ale byli zbyt zapatrzeni w siebie, by starczyło im uczucia dla innych.

- Tak, zauważyłem. I sam aż za dobrze wiem, jak to jest. Jediną bliską mi osobą była babcia, a przecież do śmierci Jackiego byłem zawsze na drugim planie. Westchnął ciężko.

- Była kobieta, która mówiła, że mnie kocha, tymczasem kochała mój majątek. Tak, moja miła, zdaje się, że oboje mamy nie najlepsze doświadczenia z miłością. Niepewnym ruchem pogładziła jego ciemną głowę.

- Worth, ja... - zająknęła się, szukając słów. W napięciu, wstrzymując oddech czekał, co powie.

- Czy nie miałbyś mi za złe, gdybym... gdybym pewnego dnia... zakochała się w tobie? - zapytała wreszcie urywanym głosem. Worth w zakłopotaniu potarł podbródek.

- A myślisz, że mogłabyś? Przecież byłem dla ciebie tak okrutny...

- Tylko dlatego, że zraniłam twoją dumę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy - powiedziała szybko. Zaczęła całować jego twarz, coraz goręcej, zachłanniej.

- Och, Worth, gdybyś tylko pozwolił mi się kochać! - wyszeptała. Usta Wortha w natychmiastowym, odruchu powędrowały ku wargom dziewczyny. Ten ogromny mężczyzna drżał jak dziecko. Kiedy poczuła mokre ślady łez na twarzy, nie była pewna, czy spłynęły tylko z jej oczu.

- Ja mam ci pozwolić? Boże, ty się jeszcze pytasz?! Czy nie wiesz, nie widzisz, co czuję? - mówił gorączkowo, a potem uniósł głowę i spojrzał jej w oczy tak, że już wiedziała.

- Amy, przecież ja cię kocham! Tak bardzo cię kocham! Rzucili się sobie w objęcia, pieszcząc się i całując w absolutnym zachwycie. Długo tłumione marzenia stały się rzeczywistością. Znikła szara mgła smutku. Świat odzyskał barwy. Nagle poczuli, jak bardzo chce im się żyć.

- Teraz chcę się z tobą kochać - szepnęła Amy łamiącym się głosem. - Teraz, Worth, weź mnie i zapomnijmy o wszystkim, co było złe. Uśmiechnął się, ciągle jeszcze niepewny swojego szczęścia.

- Kochana, wreszcie wiem, co to jest miłość. Miłość... - powtórzył. I szaleństwo ogarnęło ich od nowa.

Było już po północy, kiedy wreszcie Worth zaniósł żonę do sypialni, beztrąsco zostawiając w salonie porozrzucane wszędzie ubrania.

- Wszyscy się dowiedzą - wymamrotała sennie Amy.

- Wszyscy są ludźmi. I to zonatymi. Niech sobie poplotkują. W końcu mamy miesiąc miodowy, prawda? Przytulił ją mocniej.

- Och, Amy, teraz już nie pozwolę ci odejść. Nigdy!

- Bardzo się cieszę, kochany. Tylko za dużo mówisz o mnie. Już pewnie zapomniałeś o dziecku.

Bez słowa, delikatnie ułożył ją na tapczanie i podszedł do ogromnej ściennej szafy.

- Dobrze, teraz przekonasz się, czy zapomniałem o dziecku - oznajmił z tajemniczą miną i szeroko otworzył drzwi.

Pluszowe misie, słoniki i tygryski, rękawice baseballowe, piłki, lalki i samochodziki falą wysypały się na dywan, jak wytrząśnięte z worka Świętego Mikołaja.

- No, i co teraz powiesz? - zapytał, wyzywająco opierając ręce na biodrach.

Amy pozostało tylko się roześmiać.

- Nic, kochanie. Nie mam pytań - powiedziała wyciągając ku niemu ramiona.

Worth jednym skokiem dopadł łóżka. W ostatnim rozbłysku gaszonej nocnej lampki załśniły w cieniu oczka pluszowego misia.